

PATRIOTYCZNY RUCH POLSKI**NR 239****RUCH ODNOWY
i ŚWIATIA****15 IV 2010 R.**

NOWY JORK, CHICAGO, TORONTO, BERLIN, WARSZAWA.

PATRIOTYCZNY RUCH POLSKI W INTERNECIE: www.wicipolskie.org lub polpatriot.com**Drodzy Czytelnicy i Sympatycy!**

W naszym biuletynie zamieszczamy teksty różnych autorów, tak „z pierwszej ręki” jak i przedruki, traktujące o najistotniejszych problemach Polski i Świata. Kluczem doboru publikowanych treści, nie jest zgodność poglądów Autorów publikacji z poglądami redakcji lecz decyduje imperatyw ważnością tematu. Poglądy prezentowane przez Autorów tekstów, nie zawsze podzielamy. Uznając jednak że wszelka wymiana poglądów i wiedzy, jest pożyteczna dla życia publicznego - prezentujemy nawet kontrowersyjne opinie, pozostawiając naszym czytelnikom ich osąd.

Redakcja

Adres kontaktowy Redakcji PRP: PO Box 1602, Cranford NJ 07016 i internetowy: turobin@netzero.net

W numerze: 1) GROM bez maski; 2) 100 rocznica urodzin mjr. Łupaszkę; 3) Jakub Berman. Antybiografia komunisty; 4) Korzenie „polskich” mediów; 5) Mega przekręt; 6) Falszywe złoto, zatruta ekonomia efektem talmudycznej moralności; 7) Bananowy gigant zlecał zabójstwa i obalał rządy; 8) Trzydziestolecie II Soboru Watykańskiego – V; 9) GMO: Naukowcy na łasce koncernów - IV; 10) Antyczni kosmonauci – III;

GROM BEZ MASKI

W III Rzeczypospolitej każda informacja mogąca szkodzić kłicie rządzącej jest utajniona. Obywatel dla którego to państwo pełnić ma rolę służebną jest odcięty prawem od możliwości poznania stanu rzeczy, nawet w sprawach jego osobiście dotyczących na całe pokolenia. Funkcjonariusze państwa, nadają każdej najbliższej nawet informacji klauzulę tajności. Jeśli chcesz dowiedzieć się obywatelu ile ukradł minister albo poseł - figa z makiem - to tajemnica państwowa, służbowa, handlowa, a gdy te zawiodą pozostaje jeszcze tajemnica śledztwa aż do umorzenia postępowania.

Taką supertajnością obłożone były informacje o jednostce specjalnej „GROM”. Jednym z jej zadań było odstraszenie ewentualnych terrorystów, którzy chcieliby atakować Polaków. Wielu zadaje sobie pytanie, dlaczego utrzymywano tę tajemnicę przed Polakami a informowano o tym terrorystów.



Ważnym elementem odkrywania tajemnicy III RP, była kłótnia dwóch generałów - byłych dowódców tej jednostki przebiegająca w konwencji karczemnej - gen. Petelickiego i gen. Polko, którą to pokazano w TVN-24 [program red. Rymanowskiego], 11 marca 2010. Mnie jako oficerowi w stanie spoczynku, było nie tylko przykro, ale i wstyd, że ta kłótnia oczerniła wszystkich którzy kiedykolwiek dowodzili czymkolwiek. Ja wiem z doświadczenia, że w przeszłości [rozwijającej się także na III RP], najszybciej wspinali się po szczeblach karier, ludzie najpodlejszego autoramentu, popełniali oni czyny nawet haniebne ale nie zachowywali się w taki sposób o których mowa wyżej.

Jeśli do tak niegodnych zachowań w/w byłych dowódców GROMU, zastosujemy oczywistą zasadę: „Jaki pan - taki kram, jaki dowódca taka dowodzona przezeń jednostka”, to rozpowszechniana z maniakalnym uporem teza, że „GROM jest naszym najlepszym towarem eksportowym”, wydaje się być mocno przesadzona.

Megalomania i bufonada obu tych generałów aż „szczybie w oczy”. Wystarczy spojrzeć na zdjęcie gen. Petelickiego, ubranego w jakiś dziwny mundur zapewne własnego pomysłu. Natomiast gen. Polko ma powody

do przeceniania siebie. Jako protegowany Radosława Sikorskiego (szefa MON w rządzie PiS) i hołubiony przez Braci Kaczyńskich, wyciągnięty z niebytu (dowódca batalionu) i awansowany do stopnia generała w trybie błyskawicznym, mógł nabrać mniemania o swych nadprzyrodzonych cechach.

Mam pretensje do naczelnych organów III RP o awanse duchownych do wysokich stopni oficerskich, ot tak „z marszu”, dlatego że w tym miejscu pasuje akurat generał a nie według zasług, np. biskup-generał Głódź czy biskup-generał Płoski. Nadając stopnie oficerskie tym, którzy obejrzieli film o wojnie, deprecjonuje godność oficera i demoralizuje się wojsko. A przecież ksiądz kapelan, może zaczynać - jako podporucznik i awansować wg pragmatyki i wcale nie musi karmić się mianą zesłaną przez „swego Szefa” jako jałmużna.

Nie mam zamiaru włączać się do ich kłótni w/w zmianowanych generałów „na boczniczy”, więc na tym poprzestaną, są inne ważniejsze sprawy.

Problem z „Gromem”, zaczął się w początkach III RP, lecz okoliczności powstania GROMU, zapoczątkowane zostały znacznie wcześniej. - Od 1967 r., PRL nie utrzymywała stosunków dyplomatycznych z Izraelem a obsługę interesów żydowskich w Polsce, realizowała ambasada Holandii. Dopiero w 1987 otwarto w Warszawie przedstawicielstwo izraelskie - Sekcję Interesów [nazwa bardzo adekwatna]. A interes ten, to było zorganizowanie w Polsce punktu tranzytowego dla uciekających z ZSRR radzieckich Żydów. Dotychczasowy punkt tranzytowy w Wiedniu (via Węgry) był zbyt mały, by obsłużyć ten ruch. Dodatkowo, po serii pogroźek ze strony organizacji arabskich, z udziału w tej akcji zrezygnowały Węgry.

Żydzi z ZSRR po rozpadzie imperium, obawiając się zemsty za unurzanie we krwi narodu rosyjskiego przez żydowskie elity władzy radzieckiej, od 1989 r. wymykały się chyłkiem z niepewnych terytoriów. Rosjanie i inne narody postsowieckie, nie potrafiły jednak uporać się z przeszłością, nie powstały nawet takie instytucje jak IPN, więc rejterada Żydów nie była konieczna ale „strach ma wielkie oczy” albo jak kto woli „na złodzieju czapka gore”. W sumie ucieczka ta objęła ponad milion Żydów, z czego około 750 000 trafiło do Izraela.

Na szczęście dla Żydów a na nasze utrapienie i hańbę, „daliśmy się wywieść w pole” i cieszyliśmy się z mianowania premierem rządu RP, Żyda - Tadeusza Mazowieckiego. Żydzi całego świata partycypowali w obsadzeniu na czele polskiego rządu swego człowieka, który miał wykorzystywać instrumentalnie państwo polskie w interesie żydowskim.

Dnia 26 marca 1990 r. na spotkaniu rządu RP z przedstawicielami Amerykańskiego Kongresu Żydów, Tadeusz Mazowiecki złożył deklarację, że Polska nie uchyli się od pomocy Żydom emigrującym z ZSRR i zapewni im tranzyt. W wyniku tej decyzji podjęta została współpraca z dotychczas wrogimi sobie służbami specjalnymi. Do Polski przybyła delegacja izraelskiego MSW. Podstawowym zagadnieniem było zapewnienie bezpiecznego tranzytu Żydów w ramach wspólnej, tajnej operacji o kryptonimie MOST.

Decyzję o utworzeniu w Polsce **tajnej** i wyspecjalizowanej jednostki do zwalczania terroryzmu, podjął ówczesny minister spraw wewnętrznych Krzysztof Kozłowski. [A propos, kto to jest K. Kozłowski? Kwerenda po dostępnych źródłach dała raczej mizerne wyniki. Schemat biografii K.Kozłowskiego jest schematyczny jak każdej biografii zakonspirowanego Żyda. Urodził się, często nie wiadomo gdzie, nie wiadomo kto go urodził a potem przeskok, już tylko gdzie studiował i jakich czynów chwalebnych nadokonywał. Kozłowski to ten, co dał zgodę Adamowi Michnikowi, aby ten przez kilka tygodni buszował po esbeckich archiwach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i „czyścił” żydowskie życiorysy. Michnik nigdy nie zrobił sprawozdania z tej kwerendy i nigdy nie powiedział czego szukał w tych archiwach i co znalazł].

Ta tajna jednostka (w zamiarze wojskowa), miała realizować zadania zabezpieczenia operacji MOST. Według osobistego oświadczenia, operacją MOST ze strony polskiej kierował Jerzy Dziewulski, polityk lewicy, były milicjant i antyterrorysta.

Minister Kozłowski przekonał kogo było trzeba, że skoro Polska jest już celem terrorystów, to w pierwszym rządzie mogą oni uderzać w tutejsze ambasady państw zachodnich. Latem 1990 r., pplk Petelicki otrzymał zadanie sformowania jednostki specjalnej (Grupa Reagowania Operacyjno-Manewrowego, czyli pretensjonalny jak sam Petelicki skrót - GROM). Ostatecznie GROM zostaje sformowany 13 lipca 1990 r. jako Jednostka Wojskowa nr 2305, mimo że podporządkowany został MSWiA (Kozłowskiemu), a od 1999 r. MON.

Pomocy w zakresie formowania i szkolenia, udzielili Amerykanie, Brytyjczycy i Izraelczycy. Zagrożenie Polski terroryzmem nie jest jednak tak oczywiste, jak to usiłują wmówić nam szczerze zainteresowani wciągnięciem Polski na listę krajów - celów. Sam Kozłowski po latach w wywiadzie dla „Polityki” przyznał, że to operacja MOST, zwiększyła zagrożenie terrorystyczne.

Twórcy GROMU zakładali, że w odróżnieniu od formacji policyjnych, wojskowy GROM, będzie działał w sytuacjach skomplikowanych, wymagających bardziej rozbudowanych zdolności bojowych, zwłaszcza poza obszarem kraju. Zadania jednostki zostały sformułowane w języku angielskim (co wskazuje na ponadnarodowy charakter tej jednostki) następująco:

1. **OOTW** - [*ang. Operations Other Than War*] operacje inne niż wojna, w sprawne, bezpieczne i szybkie ewakuowanie z rejonów objętych walkami czy niepokojami społecznymi obywateli polskich, co było jedną z inspiracji do utworzenia jednostki;

2. **HR** - (*Hostage Rescue*), czyli odbijanie zakładników;

3. **CT** - (*Counterterrorism*) - Kontrterrorizm, czyli fizyczne zwalczanie terrorystów;

4. **PR** - (*Personel Recovery*) - ewakuacja personelu z za-grożonych ambasad lub placówek;

5. **CSAR** - (*Combat Search and Rescue*) - Prowadzenie bojowych akcji ratowniczo-poszukiwawczych np. ewakuacja lotników zestrzelonych nad terytorium przeciwnika;

6. **SR** - (*Special Reconnaissance*) - Rozpoznanie specjalne;

7. **DA** - (*Direct Action*) - Akcje bezpośrednie. Prowadzenie akcji dywersyjnych, paraliżujących poczynania przeciwnika;

8. **MS** - (*Military Support*) - Wsparcie militarne - szkolenie wojsk sojusznicznych podczas pokoju, a w szczególności polskich formacji;

9. **UW** - [*Unconventional Warfare*] - Działania niekonwencjonalne - czyli m.in. przenikanie do okrażonych oddziałów. Prowadzenie walki partyzanckiej, działań przeciwdywersyjnych.

GROM w czasie wykonywania zadań, operuje zespołami 6-osobowymi, z opcjonalnym włączeniem strzelców wyborowych. Każdy z żołnierzy GROM-u (wyłącznie oficerowie) musi mieć opanowane dwie specjalności, np. miner-sanitariusz.

Szczegółowa organizacja i liczebność jednostki objęte są tajemnicą. Z danych, które były dostępne w prasie zachodniej wynika, że na przełomie lat 1999/2000 w jednostce służyło ok. 273 ludzi, w dwu oddziałach bojowych (A - do działań lądowych), oraz powstałym nieco później ok. 1993 r. oddziale wodnym), a także komórkach sztabowych.

Według informacji z 2005 r., zginęło dotychczas 7 żołnierzy tej jednostki, z tego dwóch już po zakończeniu służby w JW 2305 (wrócili do Iraku jako pracownicy amerykańskiej prywatnej firmy najemniczo-ochroniarskiej).

Póki co, Polska mimo usilnych starań naszych władz, nie doświadczyła przecież ani jednego ataku terrorystycznego. Wejście do NATO w pewien sposób włączyło Polskę do kręgu państw potencjalnie zagrożonych. Miłośnicy wojny z terroryzmem twierdzą, że prędzej czy później możemy stać się obiektem ataku. Możemy, jeśli będziemy zwiększać kontyngent „stabilizacyjny” w Afganistanie i zorganizujemy jeszcze ze dwa GROMY, siejące postrach w krajach muzułmańskich. To prawda, że po otwarciu granic, przewijają się przez nasz kraj miliony cudzoziemców z rozmaitych stron świata, i w najprzeróżniejszych celach. Stwarza to pośrednio zagrożenie „dekowania się” u nas terrorystów, organizowania baz do działań terrorystycznych. Mamy te stosowne siły do przeciwdziałania tym przedsięwzięciom - Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego. No cóż, nasze rządy od lat zabiegały o taką sytuację, przy naszym milczącym przyzwoleniu.

GROM został zorganizowany i wyznaczono mu zakres zadań na podstawie informacji uzyskanych z „zaprzyjaźnionych państw”. Jak wykazały niedawne doświadczenia, prowadzenie jakichkolwiek przedsięwzięć militarnych w oparciu o informacje obcych służb wywiadowczych, jest przynajmniej ryzykowne a najczęściej nie celowe. Przekazywane nam informacje od „zaprzyjaźnionych” krajów, mają służyć im a nie nam ale płacić za chybione działania mamy my. Alarmujące informacje o nuklearnych poczynaniach Saddama Husaina, mimo że wyssane z palca zostały potraktowane poważnie przez naszych służalczych „mężyków stanu” co kosztowało nas sporo pieniędzy i ludzkich dramatów. A zysk? Zysk - mniej niż zero”. GROM powołany został jako narzędzie globalnego zniewalania narodów i to na nasz koszt.

Nawet doktryna obronna Rzeczypospolitej (sformułowana niestety na mało wiarygodnych deklaracjach i informacjach sojuszników), zadania dla sił typu GROM, formuluje dość enigmatycznie. No, bo i jakie zadania można przewidzieć dla „nie dającej się określić przyszłości”, kiedy wszystko będzie inne? Tak więc, GROM dla potrzeb wewnętrznych jest zbędny, dla potrzeb zewnętrznych byłby potrzebny w przypadku wojny której się nie przewiduje, czyli też zbędny. Potrzebny jest jako zabawka dla władzy i towar eksportowy dla najbardziej nikczemnych celów.

Nasza „pokręcona” historia zna takie przypadki, gdy Wojsko Polskie służyło Namiestnikowi Cara - w ks. Konstantemu, jako zabawka, jako trupa aktorska dostarczająca mu rozrywek na paradach i defiladach.

Przeciętny polski płatnik podatku, którego utrzymaniem jest GROM, nie ma pojęcia gdzie i w jakim celu wydawane są jego pieniądze: w Sławonii, Macedonii, Iraku, Haiti czy w Afganistanie. GROM nadal jest tak utajniony przed Polakami, że nie wiadomo, kiedy i komu służy. Jego dowódcy dopiero po latach „puszczają parę”. *Edmund Wysocki - 20 III 2010*

Symbol niezłomnej walki o niepodległą Polskę, jaką toczyli Żołnierze Wyklęci - napisano w uchwale Sejmu RP o mjr Zygmuncie Szendzielarzu "Łupaszce", legendarnym dowódcy V Wileńskiej Brygady Armii Krajowej. W piątek, 12 marca br. mija 100 rocznica urodzin tego żołnierza, do końca wiernego Niepodległej Polsce, za swoją służbę dwukrotnie odznaczonego orderem Virtuti Militari, Krzyżem Walecznych oraz Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski.



Zygmunt Szendzielarz urodził się 12 marca 1910 r. w Stryju. Był żołnierzem kampanii wrześniowej. Jako dowódca szwadronu kawalerii walczył w szeregach Armii "Prusy" i Grupy Operacyjnej Kawalerii gen. Andersa.

Od początku okupacji był uczestnikiem konspiracji niepodległościowej, członkiem Związku Walki Zbrojnej, a następnie Armii Krajowej, jednym z organizatorów ruchu oporu na Wileńszczyźnie. W 1943 r. objął dowództwo pierwszego polskiego oddziału partyzanckiego na Wileńszczyźnie, który przyjął nazwę 5 Wileńskiej Brygady Armii Krajowej. W latach 1943-44, 5 Wileńska Brygada Armii Krajowej stoczyła kilkadziesiąt bitew, prowadząc krwawe walki z okupantem: niemieckim i litewskim, oraz z sowiecką partyzantką terroryzującą Polaków. W czasie tych działań "Łupaszko" zdobył sobie zaszczytną opinię znakomitego dowódcy.

Major Zygmunt Szendzielarz uniknął tragicznego losu większości żołnierzy wileńskiej AK podstępnie rozbrojonych i uwięzionych przez Sowieców po operacji "Ostra Brama". W 1944 r. przedostał się na teren Białostocczyzny i odtworzył tam oddziały 5 Wileńskiej Brygady AK, stając do walki z komunistyczną okupacją. Mimo ogromnej dysproporcji sił szwadrony 5 Brygady rozwinęły szeroko zakrojoną działalność, tocząc walki z komunistycznymi siłami bezpieczeństwa na terenie Podlasia, Białostocczyzny, Warmii i Mazur, Pomorza Gdańskiego i Zachodniego. W latach 1945-52 przeprowadziły około 450 akcji zbrojnych, mimo iż przeciwko żołnierzom 5 Wileńskiej Brygady AK zmobilizowano duże siły NKWD, UB, KBW i MO. W jednostkach podległych majorowi "Łupaszce" panowała wzorowa dyscyplina. Zwalczały one nie tylko komunistyczny aparat bezpieczeństwa, ale także chroniły ludność przed pospolitymi bandytami.

Major Zygmunt Szendzielarz "Łupaszko" został aresztowany w czerwcu 1948 roku, a następnie „skazany na osiemnastokrotną karę śmierci”. W śledztwie zachował godną postawę. O łaskę nie poprosił. Wieczorem, 8 lutego 1951 r. został stracony w więzieniu mokotowskim. Miejsce jego pochówku jest nieznane.



O "Łupaszce" pamiętała również Poczta Polska, która w 100 rocznicę jego urodzin wprowadziła do obiegu okolicznościową kartkę pocztową z nadrukowanym znakiem opłaty o wartości 1,55 zł. Autorka projektu kartki Joanna Czerwińska-Jędrzych, do emisji wykorzystała zdjęcia wybitnych fotografików, operatorów oraz żołnierzy Wileńskiej Brygady AK - braci Mikołaja i Sergiusza Sprudinów.

Kartka obrazuje wojenną drogę dowódcy tułacza i jego wiernych towarzyszy broni. Sylwetka dowódcy "idącego pod prąd" wybija się na tle maszerujących żołnierzy, co symbolizuje przewrotność historii. Wstęga flagi polskiej jest elementem symbolizującym drogę do Polski - powiedziała autorka projektu kartki. Znaczenie symboliczne ma również mający się na horyzoncie napis: ŁUPASZKO ŻOŁNIERZ WYKLĘTY, który na pierwszy rzut oka jest niewidoczny - dodała. W miejscu opłaty pocztowej znajdują się trzy fotografie przedstawiające mjr. Zyg. Szendzielarza.

Major Zygmunt Szendzielarz "Łupaszko" stał się symbolem niezłomnej walki o Niepodległą Polskę, jaką toczyli Żołnierze Wykłęci - żołnierze antykomunistycznego ruchu oporu z organizacji Wolność i Niezawisłość, Armii Krajowej na Kresach Wschodnich, Ośrodka Mobilizacyjnego Wileńskiego Okręgu AK, Narodowych Sił Zbrojnych, Narodowego Zjednoczenia Wojskowego, Ruchu Oporu Armii Krajowej, Konspiracyjnego Wojska Polskiego i z wielu innych organizacji; podkomendni podpułkownika "Kotwiczka", podporucznika "Zagończyka", kapitana "Młota", majora "Orlika", majora "Zapory", kapitana "Warszyca", majora "Ognia", kapitana "Bartka" i wielu innych, których żołnierski szlak kończyła śmierć w nierównej walce z komunistycznymi siłami bezpieczeństwa bądź ubecki strzał w tył głowy.

Niech polska ziemia utuli ich do spokojnego snu!

Mariusz A. Roman – mariuszromangdy.blog.sport.com

„JAKUB BERMAN. ANTYBIOGRAFIA KOMUNISTY” –

Piotr Gontarczyk

Inwigilacji Jakuba Bermana przez SB, autorka jego biografii, poświęciła dwukrotnie więcej miejsca niż kwestii jego odpowiedzialności za zbrodnie aparatu bezpieczeństwa

Papier jest cierpliwy - to porzekadło jak ułał pasuje do książki Anny Sobór-Świdorskiej "Jakub Berman. Biografia komunisty". Choć bohater książki był jednym z kilku najważniejszych architektów systemu komunistycznych represji, mordercą z za biurka, to jednak autorka biografii przedstawia go jako miłego, inteligentnego pana o świetnej aparycji, o którego odpowiedzialności za zbrodnie niewiele konkretnego możemy powiedzieć. Bo "to się samo kierowało", jak powtarza autorka za zeznaniami Stanisława Radkiewicza, szefa Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, opisującego mechanizm stalinowskich represji.

Złowrogi obraz Bermana nie wynika dla autorki z odegranej przez niego roli w stalinowskiej Polsce, lecz jest... skutkiem "marcowej propagandy", działań SB i Stowarzyszenia Grunwald. Rola szarej eminencji, jaką Bermanowi zwykle przypisywano, to tylko "mit zakorzeniony w historii". Anna Sobór-Świdorska zaprezentowała doprawdy nowatorskie spojrzenie na Jakuba Bermana. Problem w tym, że mocno zafalszowane.

METODA WYCINANEK

Jedną z podstawowych metod pracy autorki są tak zwane wycinanki. Bierze się książkę, wybiera pasujący fragment i pomija to co dużo ważniejsze. Tak zrobiła autorka ze wspomnieniami ambasadora Stanów Zjednoczonych w Polsce Artura Blissa Lane'a, cytując jego ocenę Bermana jako "człowieka wybitnie inteligentnego, spokojnego w zachowaniu, noszącego się z godnością", a jego stanowisko jako czwarte pod względem ważności w rządzie. Pominęła natomiast dalszą istotną opinię: "Miałem się później dowiedzieć, że był jednym z głównych agentów Kremla w Polsce, jednym z kierujących marionetkami. Do wniosku takiego doszliśmy na podstawie rozmów nie tylko z przedstawicielami rządu polskiego, którzy przy wielu okazjach mówili, że zanim udzielą odpowiedzi na konkretne pytanie, muszą się najpierw skonsultować z Bermanem, ale również z kolegami z korpusu dyplomatycznego, którzy określali go jako człowieka który stoi za tym wszystkim i wie, jak się załatwia sprawa".

W taki sam sposób wykorzystano wspomnienia sekretarza Bieruta - Stanisława Łukasiewicza. Zwracał on uwagę na "świetny garnitur, jakich po wojnie raczej się nie widziało, piękną lśniąca białą koszulę i bardzo gustowny krawat" Bermana. Pominęto natomiast charakterystyczną opowieść o tym, jak - nie znając jeszcze Bermana - Łukasiewicz nie chciał go połączyć z Bolesławem Bierutem i co z tego wynikło: "Bierut wezwał mnie zaraz po coś do swojego gabinetu i obaj panowie popatrzyli na mnie, jak na jakiś eksponat. Zrozumiałem potem, że Berman spełniał w rządzie rolę szarej eminencji, ale chodziło o to, żeby tego nie ujawniać".

Kto miał zaświadczyć, że Jakub Berman jednak był szarą eminencją, skoro wypowiedzi wszystkich, którzy o tym mówią, po prostu wycięto?

Niemal nieobecne są relacje ofiar aparatu bezpieczeństwa nadzorowanego przez Bermana, opinie prasy podziemnej i emigracyjnej. Wiele innych źródeł, które podważają nadto cukierkowy obraz stalinowskiego zbrodniarza, zostało w książce zniekształconych lub zdezwuowanych. Autorka pisze na przykład: "Wielu historyków powołuje się na informacje [Józefa] Świątły i powtarza jego wersję wydarzeń, trochę zapominając, że została ona częściowo spreparowana w celu kompromitacji ekipy stalinowskiej w Polsce". Sobór-Świdorska nie dokonywała w tej materii jakichkolwiek analiz, a jej wywody na temat nie mają naukowych podstaw.

W podobny sposób autorka potraktowała obszerny wywiad z Jakubem Bermanem, który Teresa Torańska opublikowała w książce "Oni". Czytamy, że relacja została... spreparowana przez Torańską: "Można odnieść wrażenie, że część pytań została dopisana do wypowiedzi Bermana". Jeżeli oskarża się kogoś o fałszerstwo, to należałoby pokazać dowody, bo wrażenia autorki to jednak trochę za mało.

Ważne, ale niekorzystne dla Bermana relacje są przedstawiane jako mało wiarygodne i dezawuowane przez znacznie mniej wiarygodne źródła. To nie są przypadki incydentalne - tylko konsekwentne budowanie, także za pomocą wspomnianych wcześniej wycinanek i fałszywego opisu wydarzeń.

CZERWONE OKULARY

Jednym z ważniejszych elementów pracy badacza historii najnowszej jest umiejętność zachowania dystansu w stosunku do źródeł proveniencji komunistycznej. Chodzi o to, by nie patrzeć na świat przez czerwone okulary. Czy autorka temu zadaniu podolała?

Problem dobrze ilustruje fragment, w którym jest mowa o zaangażowaniu Bermana w akcje propagandowe na terenie okupowanej przez ZSRR od jesieni 1939 r. Białostoczczyzny. Jak jego działalność definiuje autorka? "Udział Jakuba Bermana (...) oznaczał opowiedzenie się za przynależnością ziem Kresów Wschodnich II RP do ZSRR, co zresztą było zgodne z poglądami komunistów polskich w sprawach narodowościowych".

Na terenach, na których agitował Berman [województwo białostockie], mieszkało około 70 proc. Polaków, pozostali to Żydzi, potem Białorusini i inne narodowości. Interpretacja biografki Bermana nie ma nic wspólnego nawet z "poglądami komunistów polskich w sprawach narodowościowych", bo

przecież Białostockie zamieszkiwali w większości nie Białorusini, lecz Polacy. To nawet nie jest pogląd naukowy, tylko powtarzanie komunistycznej propagandy.

Książka w wielu kwestiach jest opisem historii widzianej oczami PZPR. Czytelnik nie znajdzie więc podstawowych informacji dotyczących skali stalinowskich represji, pokazowych procesów czy sądów kiblowych, za pomocą których eksterminowano niepodległościowe elity. Nie ma sprawy Emila Fieldorfa „Nila”, rotmistrza Pileckiego czy uwięzienia prymasa Wyszyńskiego. Do centralnego problemu historii Polski urasta „sprawa Lechowicza-Jaroszewicza” - typowa partyjna dintojra w melinie.

ZACHWIANE PROPORCJE

Najbardziej widowiskową porażką autorki jest próba zmierzenia się z dokumentacją proveniencji policyjnej, obecnie przechowywaną w IPN. Chodzi o akta sprawy operacyjnej prowadzonej w stosunku do Bermiana na przełomie lat 60 i 70. Liczą kilkaset stron, są to głównie materiały z podsłuchu w mieszkaniu Bermiana, wobec którego nie podejmowano aktywniejszych działań. Zdziwienie budzi fakt podniesienia w sumie sprawy dość incydentalnej do rangi podrozdziału. Inwigilacji Bermiana autorka poświęciła 30 stron książki. To dwukrotnie więcej niż liczy rozdział dotyczący odpowiedzialności Bermiana za stalinowskie represje.

Ten fragment pracy jest także napisany innym niż reszta językiem. O ile wcześniej w ocenach i interpretacjach autorka zachowywała daleko idącą ostrożność, o tyle tutaj oderwała się od źródeł i dała upust nadmiernej fantazji. Większość jej kluczowych interpretacji jest niezgodna z prawdą.

Nie zgadzają się nawet najprostsze fakty. Autorka na różne sposoby przekonuje, że inwigilowanie Bermiana od połowy lat 60 jest dowodem, że w ten sposób „komunistyczna służba specjalna (...) przygotowywała grunt pod wydarzenia marcowe”. Ale w aktach nie ma żadnych wskazówek na ten temat. Pisze również, że „SB chciała w nim widzieć człowieka, któremu marzy się powrót na scenę polityczną i drobna rewolucja w partii”. Twierdzenie równie nieprawdziwe jak poprzednie i wiele następnych.

Akta IPN dawały ogromną szansę na pokazanie ideowej ewolucji Bermiana i jego sposobu myślenia. Biografka skupiła się natomiast na wymyśleniu tego, czego w dokumentach nie ma, i opisywaniu rzeczy miałych i wręcz trzeciorzędnych.

POGLĄDY MIAŁ JAK PARTIA

Anna Sobór-Świdarska ma problemy z ustaleniem w biografii Bermiana rzeczy podstawowych. Takich chociażby, jak jego poglądy polityczne w czasach II Rzeczypospolitej: „nie wiemy, w jakim stopniu podzielał idee ogłaszane na kongresach Międzynarodówki Komunistycznej, czy w pełni popierał program KPP w kwestii granic, niepodległości Polski”. Dobrze wiemy, jakie poglądy prezentował Jakub Berman, bo KPP to partia, w której o kwestionowaniu zasadniczych, antypolskich tez programowych nie mogło być mowy. Swój stosunek do spraw polskich udowodnił jako sowiecki agitator w Białymstoku, funkcjonariusz Kominternu i członek Biura Politycznego KC PPR/PZPR. Po co więc autorka mnoży rzekome wątpliwości wokół oczywistych rzeczy?

Równie mało wiarygodnie Sobór-Świdarska pisze o powojennej roli Bermiana w aparacie partyjnym, szczególnie jeśli chodzi o odpowiedzialność za działania bezpieki: „Nie można ... demonizować Bermiana i zrzucać odpowiedzialności za całokształt zbrodni aparatu bezpieczeństwa tylko na niego. Oprócz spraw bezpieczeństwa odpowiadał za politykę ideologiczną partii, kulturę, propagandę, sprawy zagraniczne, ale także częściowo za kontakty z Kościołem katolickim”. To tak, jakby powiedzieć, że kierowca nie mógł być odpowiedzialny za całokształt spowodowanego wypadku samochodowego, bo bywało, że czasem jeździł hulajnogą i rowerem.

Wysiłki autorki zmierzające, jak sądzę, do rozmycia rzeczywistej roli Jakuba Bermiana - nie przyniosą poważniejszych sukcesów. Za dużo na ten temat zachowało się dokumentów, zbyt poważny jest dorobek innych naukowców. Można go pomijać, naginać czy wręcz przeinaczać, jak czyni to autorka, a nawet nadmiernie puszczając wodze fantazji. Tylko, że taka działalność niewiele ma wspólnego z nauką.

Piotr Gontarczyk – Na podstawie Anna Sobór-Świdarska „Jakub Berman. Biografia komunisty”, IPN, Wa-wa 2009 r. – Rzeczpospolita

KORZENIE „POLSKICH” MEDIÓW

Media „polskie” lub polskojęzyczne utrwaliły ciekawą tradycję oświecania Polaków poprzez ich gnojenie. Tradycja ta wyrasta z okresu w którym osoby pochodzenia żydowskiego stały się „popami” - czyli etatowo pełniącymi obowiązki Polaków... Trudno zatem dziwić się niechęci żurnalistów do lustracji. Naukowe klany, prawnicze, lekarskie, medialne, aktorskie, polityczne - sztucznie hodowane elity pod nadzorem Wielkiego Brata:

„Związany z Jerzym Giedroyciem Instytut Literacki w Paryżu był jak najdalszy od antyżydowskości. Tym wymowniejsza była w tej sytuacji nader szokująca informacja zawarta w wydanej przez ten Instytut w 1967 książce Georga Fleminga „Polska mało znana”:

W okresie stalinowskim na przeszło 100 dzienników, tygodników i miesięczników, wychodzących w samej tylko Warszawie, **było tylko dwóch naczelnych nie-Żydów**.

Roman Chaim Werfel, czołowy ideolog okresu stalinowskiego w Polsce, syn rabina, który później zateizował się i został bankierem, był między innymi redaktorem naczelnym KC PPR Głos Ludu (od grudnia 1944 do września 1945 i od września 1946 do października 1947) i redaktorem naczelnym teoretycznego organu KC PZPR Nowe Drogi od stycznia 1952 do marca 1954 i od lipca 1956 do 30 listopada 1958. Od marca 1954 do maja 1956 Werfel był redaktorem naczelnym organu KC PZPR Trybuna Ludu. Nowe Drogi były konsekwentnie w rękach żydowskich towarzyszy. Przed Werfleem ich redaktorem naczelnym w latach 1947-1952 był **Franciszek Fiedler [Efroim Truskier]**, po Werflu od 1959 **Stefan Wierbliński**, znany z fanatycznego protegowania swych żydowskich rodaków.

Redaktorem naczelnym Trybuny Ludu był przez szesnaście lat [1948-1954] i [1957-1967] **Leon Kasman**. Tenże Kasman był w 1945 redaktorem naczelnym organu KC PPR Trybuna Wolności. Po nim funkcję redaktora naczelnego tego organu (w latach 1945-1947) przejął **Franciszek Fiedler**.

Później redaktorem naczelnym Trybuny Wolności (w latach 1947-1948 i ponownie od 1954) był **Józef Kowalczyk (poprzednie nazwisko Schneider vel Rotenberg)**.

Redaktorem naczelnym centralnego organu partii komunistycznej Głos Ludu był od września 1945 - **Ostap Dłuski (Adolf Langer)**. Jego zastępcą w Głosie Ludu od 1946 był Józef Kowalczyk.

Później naczelnym Głosu Ludu w latach 1947-1948 był **Juliusz Burgin, syn Mojżesza**, poprzednio naczelnik wydziału w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego.

Wiktor Borowski [poprzednio Aron Berman] był redaktorem naczelnym Życia Warszawy [1944-1951] a od 15 kwietnia 1951 do 19 grudnia 1967 zastępcą naczelnego Trybuny Ludu, Leona Kasmana.

Innym zastępcą redaktora naczelnego Trybuny Ludu w latach 1957-1959 był **Jerzy Baumritter**.

Wcześniej, w roku 1948, zastępcą redaktora naczelnego Trybuny Ludu został stary agent sowiecki **Stefan Arski (Artur Salman)**.

Przedstawicielem KC PPR w redakcji organu Biura Informacyjnego Partii Komunistycznych i Robotniczych - pisma „O trwały pokój i demokrację ludową” był **Juliusz (Eliasz) Finkelsztajn**, a od 1949 pierwszy redaktor naczelny Życia Partii.

Jerzy Benjamin Borejsza (Goldberg) był w latach 1944-1945 redaktorem naczelnym Rzeczypospolitej, a w latach 1947-1950 - Odrodzenia.

Bolesław Gebert (ojciec Dawida Warszawskiego) był w latach 1950-1960 naczelnym redaktorem organu skrajnie serwilistycznych związków zawodowych Głos Pracy. Dodajmy, że ten sam Gebert był przez wiele lat wypróbowanym agenturalnym działaczem komunistycznym w USA.

Zastępcą B. Geberta jako redaktora naczelnego Głosu Pracy był w okresie od 1 stycznia 1951 do 11 marca 1965 - **Ozjasz Szechter, ojciec Adama Michnika**.

Paweł Hoffman, syn Izaaka, był od kwietnia 1945 do 1948 redaktorem naczelnym Rzeczypospolitej, od grudnia 1948 do marca 1950, naczelnym redaktorem czasopisma marksistowskich fanatyków Kuźnica, a w latach 1950 i 1954-1956 naczelnym redaktorem Nowej Kultury.

Adam Ważyk [Wagman] był naczelnym redaktorem Twórczości (1950-1954).

Adam Schaff był w latach 1946-1951 redaktorem naczelnym głównego pisma filozoficznego Myśl Współczesna a od 1951 do 1956 redaktorem naczelnym Myśli Filozoficznej.

Rafał Praga - naczelnym redaktorem Expressu Wieczornego.

Benedykt (Bencjon) Hirszowicz, podpułkownik WP, redaktorem naczelnym Życia Gospodarczego.

Zastępcą redaktora naczelnego Rzeczypospolitej w latach 1944-1948 była **Edda Werfel**.

Zastępcą redaktora naczelnego Szczeparu Młodych była siostra samego Świątły - **Walczakowa**.

Redaktorem naczelnym Szachów (od 1950 do 31 marca 1990) był **Władysław Litmanowicz (Abram Wolf Litmanowicz)**, jeden z najbardziej znanych sędziów wojskowych doby stalinizmu #.

Redaktorem naczelnym Problemów był w latach 1948-1968 **Józef Hurwic**.

Redaktorem naczelnym Świata był **Stefan Arski**.

Nawet na czele czasopism rolniczych stawiano osoby pochodzenia żydowskiego, przedtem niemające nic wspólnego z rolnictwem. Na przykład naczelnym redaktorem chłopskiego tygodnika Gromada od 2 lutego 1949 do 30 marca 1952 była **Maria Kamińska (Eiger)**, poprzednio organizatorka i dyrektor Departamentu Szkolenia Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego.

Zastępcą redaktora naczelnego gazety Rolnik Polski - a od 1949 do 1971 redaktorem naczelnym (od 1952 pod nazwą Gromada Rolnik Polski) była **Irena Grosz (z domu Sznajberg, żona Wiktora Grosza (Izaaka Medresa))**.

J.R.Nowak, Nowe kłamstwa Grossa, Warszawa 2006, s. 210- 214.

Nowak przytacza anegdotę... Bratkowskiego:

“Udział Żydów w elicie reżimu był tak duży, tak ostentacyjny, jakby chciano ostatecznie reżim z nimi utożsamić. Nie tylko we władzach partii i nie tylko w aparacie represji. Kiedy moja młoda wtedy przyjaciółka, dziennikarka radiowa, w 1955 r. weszła na posiedzenie kolegium krakowskiego radia, kilkanaście osób zaczęło ze śmiechem bić brawo; o piękna dziewczyna, myślała że to dla jej urody; zażenowana, spytała, skąd te brawa; usłyszała, że zebrani postanowili bić brawo, kiedy pierwszy goj wejdzie na salę”.

Władysław Litmanowicz [Abram Wolf Litmanowicz], podoficer Armii Czerwonej, później oficer Ludowego Wojska Polskiego. W latach powojennych uczestniczył jako sędzia w procesach stalinowskich:

sędzia w procesach: Tadeusza Klukowskiego i Jerzego Kurzępy, skazanych na karę śmierci 1 X 1952 r. w Warszawie z art. 86 KKWP,

sędzia w procesie Karola Mrowca skazanego na karę śmierci 30 VI 1949 w Krakowie na podstawie Dekretu z dnia 13 czerwca 1946 r.,

sędzia w procesie Edmunda Bukowskiego skazanego na karę śmierci 14 XI 1949 r. w Warszawie na podstawie Dekretu z dnia 13 czerwca 1946 r.,

sędzia w procesie Stefana Budzińskiego skazanego na karę śmierci 23 XII 1949 r. w Warszawie na podstawie Dekretu z dnia 13 czerwca 1946 r.,

sędzia w procesie Władysława Kuligowskiego skazanego na karę śmierci 10 III 1950 r. w Warszawie na podstawie Dekretu z dn. 31 sierpnia 1944 r.,

sędzia w procesie Antoniego Błaszczynskiego skazanego na karę śmierci 16 II 1951 r. w Warszawie na podstawie Dekretu z dnia 13 czerwca 1946 r.,

sędzia w procesie Bolesława Wasiutyńskiego skazanego na karę śmierci 16 II 1951 r. w Warszawie na podstawie Dekretu z dnia 13 czerwca 1946 r.,

sędzia w procesie Wincentego Morawskiego skazanego na karę śmierci 27 II 1951 r. w Warszawie na podstawie Dekretu z dnia 13 czerwca 1946 r.,

sędzia w procesie Władysława Śliwińskiego skazanego na karę śmierci 14 II 1951 r. w Warszawie na podstawie Dekretu z dn. 31 sierpnia 1944 r.,

sędzia w procesie Jana Bielskiego skazanego na karę śmierci 30 XI 1951 r. w Warszawie na podstawie Dekretu z dnia 13 czerwca 1946 r.,

sędzia w procesie Stanisława Wilka skazanego na karę śmierci 25 IX 1952 r. w Warszawie z art. 225 par.1 KK. [<wikipedia>](#)

MEGA PRZEKRĘT

Na naszych oczach, przy biernej postawie polityków, mediów, służb specjalnych, dzieje się ostatni akt utraty suwerenności naszego kraju.

Afera hazardowa „warta” być może 0,5 mld PLN skutecznie przesłania megaafere, w której Polska straciła jakieś 1500 mld PLN.

Megaafera nie zostaje zauważona, być może dlatego, że ma rozmiar niewiarygodny, choć tak łatwo sprawdzalny.

W czasie, kiedy kolejne rządy szukają dywersyfikujących rozwiązań dostawy paliw, po cichu rozdawane są polskie zasoby ropy i gazu obcym firmom. Oficjalna wersja Głównego Geologa Kraju jest taka: „Przekazujemy zasoby w celu ich rozpoznania, nie posiadamy środków na ten cel i nowoczesnych technologii”.

TO KLAMSTWA!

Od dziesiątków lat, w tym także w ostatnim 20-leciu, manipulowano informacją geologiczną. Np. coroczne Bilanse Zasobów Kopalin [PIG] informują, że mamy jedynie 150 mld m³ gazu (na 10 lat eksploatacji) i 19,5 mln ton ropy (na 1,3 roku eksploatacji).

Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, z chwilą przekazania zasobów w celu rozpoznania, od razu wiadomo, że pod Kutnem zasób gazu przekazany w 2007 r. FX Energy to ok. 500 mld m³, a gaz przekazany firmie Chevron w 2009 r. (obie firmy z USA) to ok. 1000 mld m³ (1 bln). Zasoby te po prostu, były dawno, poprzez kilka tysięcy wierceń w latach 60 i 70-tych XX w. i inne (satelitarne) w latach następnych, rozpoznane, a informacje utajniono polskiemu społeczeństwu i przekazywano agenturze KGB.

Nie ujawnienie tych zasobów było i jest tym na rękę, którzy mają biznes na sprowadzaniu gazu z Rosji.

Przekazano obecnie w obce ręce zasoby gazu w ilości ok. 1,5 bln m³ (na ok. 150 lat zapotrzebowania obecnego Polski) za ok. 1% wartości (opłaty koncesyjne za wydobycie - 5,63 PLN/1000m³) **ze stratą ok. 2000 mld PLN** (cena gazu z Rosji to ponad 400 USD/1000 m³).

Zasoby te zostały dawno rozpoznane i firmy amerykańskie, o których mowa powyżej [w FX Energy - jest były wiceprezes PGNiG], mają 100% pewności co do wielkości zasobów, czym się same chwala na swoich stronach internetowych.

Manipulacja informacją przez Głównego Geologa Kraju, który wydał koncesje, polega na tym: koncesje wydaje (wydał obcym firmom ponad 30), jak twierdzi jedynie na rozpoznanie zasobów.

Dają się na to nabierać wszyscy, nie znając prawa geologicznego i górniczego, które obecnie w Art. 12 stanowi że: **kto rozpoznał złożę... może żądać pierwszeństwa do jego eksploatacji przed innymi. Oznacza to, że rozpoznanie jest jednoznaczne z prawem do eksploatacji.**

To samo w Art. 15 jest kontynuowane w projekcie nowego prawa g i g - druk sejmowy 1696.

Projekt nowego prawa g i g zmierza do totalnego przejęcia wszelkich zasobów energetycznych (oraz pozostałych) przez organ koncesyjny podległy Głównemu Geologowi Kraju w jednym celu - przekazania tych zasobów w ręce prywatnych firm przetargowo lub bez przetargu. Z pominięciem interesu państwa, samorządów i obywateli, czyli obecnych właścicieli. Których pozbawia się możliwości korzystania z własnych zasobów.

Dodatkowo jeszcze w nowym prawie wymyślono możliwość bezwzględnego wywłaszczenia z nieruchomości wszystkich właścicieli obecnych przez tego, który uzyskał koncesję na rozpoznanie i/lub eksploatację.

Np. FX Energy ma już tereny o pow. 8,5 tys. km² terenów w Polsce, które może przejąć na minimum 50 lat, wywłaszczając wszystkich, jeśli zobaczy w tym jakiś interes. Nowe prawo g i g ma ułatwić także znakomicie przekazanie węgla brunatnego w obce ręce. **Węgiel brunatny ma „iść” z prywatyzacją energetyki**, co oznacza, że za oczekiwane 12 mld PLN (obecnie szacunki dochodzą do 25 mld PLN) z prywatyzacji sektora energetycznego utracimy zasoby o wartości setek mld PLN. Samorządy i organizacje społeczne eliminuje się skutecznie z procesu koncesyjnego poprzez kolejne prawne ograniczenia ustawowe, celowe manipulacje prawem.

To wszystko staje się niewiarygodne poprzez swoją prostotę. **Wydaje nam się, że nikt nie może zabrać nam naszych domów, działek, pól i lasów.**

A jednak - wystarczy przeczytać choćby skrót projektu nowego prawa geologicznego i górniczego, żeby zrozumieć grozę sytuacji.

Udało się, przy biernej postawie praktycznie wszystkich sił politycznych, zatrzymać listem otwartym do Prezydenta i Premiera, Marszałków Sejmu i Senatu (dostali wszyscy posłowie) spowolnić legislację tego prawa (ustawa miała wejść w życie 1 lipca 2009 r.).

Sejm uchwalił powołanie Nadzwyczajnej Podkomisji Sejmowej ds. druku 1696 - projekt nowego prawa geologicznego i górniczego, po bezskutecznej wielomiesięcznej dyskusji w podkomisji, samorządy i organizacje społeczne przestały w niej uczestniczyć decyzją Przewodniczącego i posłów PO. Z uzyskiwanych informacji posiadamy wiedzę, że z wielu wniesionych poprawek niewiele poprawek wniosła Podkomisja do projektu rządowego (projekt Głównego Geologa Kraju), projekt wkrótce ma trafić do drugiego czytania.

Podsumowując - zajmujemy się wszyscy „duperelami”, a tu kradną, zupełnie bezkarnie, **wszystko co dla nas najcenniejsze**. Zwłaszcza przyszłość. Mogliśmy być Norwegią czy Kuwejtem, a jesteśmy nędzarzem wycyckanym przez zgraję mafijnych „elit politycznych”.

Może czas z tym skończyć, póki jeszcze coś zostało?

Może warto społeczeństwu ujawnić wszystkie bzdury o budowie dla nas bezpieczeństwa energetycznego w ramach którego pozbywamy się własnych paliw jako źródła dochodów, by kupować od innych za ciężkie pieniądze.

Te bzdury o bezpieczeństwie energetycznym w ramach czego pozbywamy się za grosze dochodowych spółek energetycznych wraz z zasobami.

O potrzebie budowy elektrowni atomowych wtedy, kiedy zapotrzebowanie na energię stale spada, a wydano już pozwolenia na 12,5 tys MW przyłączenia energii wiatrowej, (zostały do rozpatrzenia wnioski na 54 tys. MW), t.j. na 1/3 zainstalowanej obecnie mocy wszystkich elektrowni. Wtedy, kiedy dostępne zasoby geotermiczne (skała i wód) mogą zapewnić moc energii elektrycznej na ok. 50 tys. MW.

O konieczności realizacji projektu CCS - wychwytywania, sprężania i zatłaczania spalin ze spalania węgla brunatnego przez PGE (przygotowane do sprzedaży na giełdzie) w najcenniejsze geotermalne pokłady utworów solanek jurajskich w centralnej Polsce.

źródło : <http://1616.salon24.pl/155948,megaprzekret>

Autor: andruch2001 , blog: Blog Andrucha czyli co tam panie w POLityce

FAŁSZYWE ZŁOTO, ZATRUTA EKONOMIA EFEKTEM TALMUDYCZNEJ MORALNOŚCI

Ostatnie szokujące informacje, zupełnie przemilczane przez światowe media wskazują, że pewne kręgi w Stanach Zjednoczonych sfalszowały miliony sztabek złota, których wartość ocenia się na zawrotną sumę 600 miliardów dolarów (ang. *billion*).

Sprawa wyszła na jaw w październiku 2009 r. kiedy to Chiny, zakupiwszy ok. 5700 sztabek złota, każda o wadze 400 uncji, nabrały podejrzeń co do prawdziwej ich jakości. Po zbadaniu sztabek, które według oficjalnych dokumentów zostały wysłane bezpośrednio z amerykańskiego skarbcza złota w Fort Knox (*United States Bullion Depository*), okazało się, że ich rdzeń wcale nie zawiera złota, lecz w sumie jest to sztaba wolframowa - wolfram jest metalem o wadze niemal równej złota - jedynie pokryta zewnętrzną warstwą prawdziwego złota. Informację na ten temat przekazał przed kilkoma dniami jeden z największych pakistańskich dzienników *Pakistan Daily*, i choć jest ona niezwyklej wagi, pominięta została przez, tak niby różnorodne, choć w sumie mówiące jednym-słusznym głosem media.

Dochodzenie w tej sprawie ujawniło, że najwyraźniej fałszerstwem na tak wielką skalę zajął się sam rząd USA, a przynajmniej za jego wiedzą i zgodą dokonano tego procederu w centralnych czynnikach tzw. Banku Rezerw Federalnych. Okazało się, że przed około 15 laty, w czasie administracji prezydenta Clintona (a chodzi tutaj o najbardziej wpływowe postaci tego okresu, czyli Roberta Rubina, Alana Greenspana i Lawrence'a Summers - *nota bene* wszyscy trzej są wyznawcami judaizmu, proizraelskimi i prosyjonistycznymi fanatykami, dla których prawdziwe dobro Ameryki zawsze ustępuje przed priorytetem Izraela i diaspory żydowskiej), w jednej z nowoczesnych fabryk na terenie USA, używając do tego celu 16 tysięcy ton wolframu, dokonano fałszerstwa w postaci wyprodukowania od 1,3- do 1,5-miliona odpowiednich sztabek wolframu. Sztabki wolframowe pokryto następnie warstwą złota, po czym około 640 tysięcy takich wolframowo-złotych fałszyfikatów przesłanych zostało do skarbcza w Fort Knox. Jak twierdzą źródła chińskie, pozostałe z tak wyprodukowanych sztabek, czyli nawet do 860 tysięcy, zostało upłynionych na globalnych rynkach złota i światowych giełdach.

DLACZEGO WOLFRAM?

Tak jak do doskonałego podrobienia pieniędzy papierowych potrzebny jest papier maksymalnie zbliżony w swoich własnościach fizykochemicznych do oryginalnego, tak i w przypadku próby podrobienia sztabek złota konieczne jest znalezienie takiego materiału, który sprawi, że ta fałszywa sztabka nie będzie się niczym różniła od oryginału. Potencjalni fałszerze natrafiają w przypadku złota na wielką trudność: złoto bowiem jest metalem bardzo ciężkim i znalezienie substytutu, który przy zbliżonych własnościach kosztuje dużo mniej, jest bardzo trudne. Z tego względu można brać pod uwagę jedynie dwa metale: zubożony uran, który jest stosunkowo tani (przynajmniej dla odbiorcy rządowego), lecz niestety cechuje się wykrywalną promieniotwórczością, oraz właśnie wolfram. Wolfram jest metalem bardzo tanim (30 dolarów za funt, w porównaniu do funta złota sięgającego 12 tysięcy dolarów) i różnica pomiędzy kosztem doskonale podrobionej sztabki wolframowo-złotej a złotą jest jak jeden do ośmiu: 400 uncjowa sztabka wolframowa kosztuje ok. 50 tysięcy dolarów, zaś złota - 400 tysięcy dolarów. Wolfram posiada również, niemal identyczną jak złoto gęstość, co sprawia, że sztabka złota i wolframu waży niemal tyle samo. W przypadku zastosowania na przykład zwykłej stali, sztabka o tych samych wymiarach ważyłaby prawie 3 razy mniej niż prawdziwa sztabka złota. Przekonał się o tym niedawno centralny bank Etiopii, gdy w 2008 r. próbował sprzedać złoto rządowi Południowej Afryki - dostawa została zwrócona gdy okazało się że zawiera sztabki złota wykonane ze stali, jedynie pokryte warstwą złota. O znalezieniu w zasobach bankowych Niemiec sfałszowanej sztabki wolframowo-złotej doniosła również niemiecka stacja telewizyjna *ProSieben*.

Sztabki złota przekazane z amerykańskiego skarbcza bankowi Chin, były właśnie w praktyce sztabkami wolframu pomniejszonymi o ok. 3 milimetry z każdej strony i z nałożoną 1,5-milimetrową warstwą złota. Tak wykonana podrobiona sztabka niemal we wszystkim przypomina oryginalną sztabkę złota: wagowo zgadza się perfekcyjnie, można ją obstukiwać uzyskując pożądany dźwięk, można ją poddać testom chemicznym, a nawet prześwietlić promieniami Rentgena, bez uzyskania negatywnych wyników. Jedynym sposobem na sprawdzenie czy sztabka w całości wykonana jest ze złota, jest wywiercenie małych otworów wgłąb sztabki. Złoto jest materiałem bardzo, bardzo kruchym (czyste złoto można niemalże modelować palcami), natomiast wolfram jest niezwykle twardy. Już pierwsza próba zrobienia otworu w takiej sztabce, kończy się złamaniem wiertła. I widocznie wiele wiertel Chińczycy połamali sobie.

ROTSCHILD WYCOFAŁ SIĘ Z HANDLU ZŁOTEM?

W świetle tak ewidentnego fałszerstwa sztabek przysłanych do Chin, nowego znaczenia nabrały dotąd tajemnicze fragmentaryczne informacje pojawiające się tu i ówdzie w ostatnich latach. Śledztwo oraz tzw. biały wywiad wskazują np. na ciekawą wiadomość z 2 lutego 2004 roku, kiedy to prokurator na Manhattanie aresztował Stuarta Smitha, jednego z najwyższych przedstawicieli giełdy *New York Mercantile Exchange* - NYMEX. Interesujące, że po nalocie na biura wiceprezydenta NYMEX i po praktycznym zniknięciu tej osoby, nie ukazała się na ten temat żadna wzmianka i nic nikomu nie wiadomo o losach sprawy, a do dnia dzisiejszego biuro prokuratora milczy na ten temat nie wyjaśniając motywów akcji. Co jest jednak najstotniejsze i co może rzucać światło na prawdziwe przyczyny tej akcji, to fakt, że biuro owego prezydenta giełdy miało szczególne zadanie: przechowywało ono szczegółowe informacje o każdej transakcji każdej sztabki, wraz z miejscem pochodzenia, numerem seryjnym sztabki, kupcem, itp. Pomimo, że nadal nie wiadomo jaka grupa - rządowa, pararządowa, bankowa, reprezentująca obcy wywiad - kontroluje ten sektor, to monopol na informację o każdej przeprowadzonej bądź zamierzonej transakcji jest niezbędny dla grupy chcącej kontrolować dystrybucję złota.

Niemal w tym samym czasie, w kwietniu 2004 r. w sieci *Reutersa* pojawiła się równie tajemnicza informacja: oto londyński bank inwestycyjny *NM Rothschild & Sons, Ltd* znienacka oznajmił, że wycofuje się z transakcji złota na giełdzie londyńskiej. Komentatorzy nie znając prawdziwych przyczyn tak nieprawdopodobnej decyzji uznali, że albo "coś jest nie tak", albo "wiedzą oni [tj. bank Rotschilda] o szykowaniu się jakiegoś wielkiego skandalu" związanego z handlem złotem, i nie chcą oficjalnie brać w tym udziału bądź też nie chcą być z tym skandalem kojarzeni.

FED NIE CHCE UJAWNIĆ INFORMACJI

Jednym z komentatorów finansowych podejmujących te tematy był Bill Murphy, założyciel organizacji *Gold Antitrust Action Committee* [GATA], mającej na celu ukazywanie opinii publicznej nieprawidłowości w handlu złotem. Organizacja ta postawiła sobie za cel zdobycie od władz amerykańskiego federalnego systemu bankowego informacji o transakcjach złotem, gdyż wszelkie przesłanki wskazywały na trwającą dziesiątki lat manipulację cenami złota na rynkach światowych dokonywaną przez amerykański Bank Federalny. GATA, powołując się na prawo *Freedom of Information Act* (FOIA) upoważniającą do dostępu do informacji, złożyło wniosek do Federalnego Banku o ujawnienie wszystkich informacji o przeprowadzonych i zamierzonych transakcjach złota, począwszy od 1990 roku.

5 sierpnia 2009 roku Bank Federalny odpowiedział przekazując dokumenty liczące 173 stron, na których dokonano jednak wielu ocenzurowań zamazujących tekst. Poinformowano również że nie ujawniono dodatkowych 137 stron. Gdy GATA odwołała się żądając wyjaśnień dlaczego nie ujawniono całości dokumentacji, w miesiąc później nadeszła odpowiedź od jednego z dyrektorów Systemu Rezerwy Federalnej, Kevina M. Warsh. W liście tym już w pierwszym paragrafie przyznano, że żądane informacje "dotyczące zamiany z innymi bankami zagranicznymi dokonywane przez System Rezerwy Federalnej, nie jest tym rodzajem informacji, którą zwykliśmy przekazywać opinii publicznej".

KTO RZĄDZI SYSTEMEM MONETARNYM?

Oczywiście nie wiadomo na razie w jaki sposób i kto dokonał próby oszukania i poważnej destabilizacji światowego systemu zasobów złota, lecz nie mogło się to odbyć bez udziału tzw. federalnego banku Stanów Zjednoczonych. Czym zatem jest System Rezerwy Federalnej (zwany często pieszczotliwie *Fed-em*)? Jest to instytucja bankowa zawiadująca emisją pieniądza amerykańskiego i całkowicie go kontrolująca. Jest instytucją prywatną zarządzającą amerykańskim systemem finansowym, działającym wbrew literze Konstytucji, która wyraźnie mówi, że prawo do emisji pieniądza ma Kongres. Tak więc pomimo zwodniczej nazwy, na próżno szukać adresu tej instytucji w książkach telefonicznych na tzw. *Blue Pages*, czyli stronach wycieczających instytucje rządowe, bowiem "Bank Federalny" nie jest ani instytucją rządową ani federalną, jest natomiast instytucją prywatną i właśnie jako instytucja prywatna jest wymieniona na stronach żółtych, czyli na *Yellow Pages*, obok takich biznesów jak np. "Federal Express"^[1]. Ta prywatna firma o celowo zwodniczej nazwie "Federal Reserve System", nadzorowana jest przez pięciu członków wchodzących w skład Zarządu, czyli "Federal Reserve Board of Governors". Może wymieńmy po kolei nazwiska dzisiejszych członków zarządu. Są to: Benjamin S. Bernanke, Donald L. Kohn, Kevin M. Warsh, Elizabeth A. Duke i Daniel Tarullo. Przed tymi dwiema ostatnimi osobami, funkcję sprawowali: Randall S. Kroszner i Frederic S. Mishkin.

Może przyjrzyjmy się teraz sylwetkom tych osób, które - przypomnijmy - **w sposób niemal absolutny zawiadują systemem monetarnym w Stanach Zjednoczonych** i dodajmy ich pochodzenie etniczne, a otrzymamy interesujący obrazek:

Benjamin S. Bernanke - żydowskie,

Donald L. Kohn - żydowskie,

Kevin M. Warsh - żydowskie (najmłodszy w historii dyrektor Fed-u, mianowany w wieku 35 lat),
Elizabeth A. Duke - w biografii nie ujawniono - ani na stronach Banku Federalnego, ani w encyklopediach,
Daniel Tarullo - w biografii nie ujawniono - ani na stronach Banku Federalnego, ani w encyklopediach.

Poprzedni dyrektorzy:

Randall S. Kroszner - żydowskie,

Frederic S. Mishkin - żydowskie.

Gdyby jednak dalej penetrować skład osobowy Fed-u, to oprócz pięciu dyrektorów (dzisiaj: trzech jest pochodzenia żydowskiego, do tej pory było ich pięciu, czyli 100%), mamy również dwunastu regionalnych prezydentów. Uwzględnijmy zatem i tych dyrektorów i zobaczmy jak tutaj rozkłada się ta etniczna przynależność. Otóż okazuje się, że i tutaj mamy do czynienia z nieprawdopodobną nadreprezentacją etniczno-religijną pewnej grupy, która jednak oburza się gdy próbuje się wskazywać na jej oczywiste korelacje z systemem finansowym. Dla pełnego obrazu wymieńmy zatem nazwiska prezydentów poszczególnych oddziałów i ich etniczno-religijną przynależność:

Oddział Boston: Eric S. Rosengren - żydowskie,

Filadelfia: Charles I. Plosser - żydowskie,

Richmond: Jeffrey M. Lacker - żydowskie,

St. Louis: James B. Bullard - żydowskie,

Kansas City: Thomas M. Hoenig - żydowskie,

Dallas: Richard W. Fisher - żydowskie,

San Francisco: Janet L. Yellen - żydowskie,

Minneapolis: Narayana R. Kocherlakota - w biografii nie ujawniono - ani na stronach Banku Federalnego, ani w encyklopediach (zastąpił Gary H. Sterna - żydowskie),

Nowy Jork: William C. Dudley - goj,

Cleveland: Sandra Pianalto - goj,

Atlanta: Dennis P. Lockhart - goj,

Chicago: Charles L. Evans - goj.

Tak więc z grupy pięciu członków Zarządu, trzech stanowią Żydzi, czyli 60 procent. Z grupy 12 regionalnych prezydentów, mamy dzisiaj 6 zadeklarowanych Żydów, czyli 50 procent. W sumie, na 17 najważniejszych stanowiskach zasiada 9 Żydów (dotychczas było ich 12), choć cały czas nie wiemy czy wobec reszty nie chodzi o zakonspirowanych *Marranos*. Wobec 2% [według oficjalnych danych] populacji Żydów w USA, zjawisko to oznacza ponad 25-krotną nadreprezentację Żydów w zarządzie głównym i oddziałach Banku Federalnego (dotychczas była to nadreprezentacja ponad 35-krotna). Podobna sytuacja jest w Departamencie Skarbu (*U.S. Treasury Department*), gdzie na 11 najważniejszych stanowiskach, w pięciu zasiadają zadeklarowani Żydzi.

MANIPULACJA

Szefem Departamentu Skarbu jest dzisiaj jak wiadomo Timothy Geithner, którego jednak trudno jest zakwalifikować do którejkolwiek grupy, gdyż przed jego nominacją przez Baraka Obamę na to stanowisko, figurował on w *Wikipedii* jako Żyd, lecz później zmieniono go na członka "kościółka anglikańskiego (*Episcopalian*)", a dzisiejsze wydanie *Wikipedii* nie informuje nawet o tym. Jaka jest "prawdziwa prawda" - nie wiadomo ale czy to zmienia tak wiele? nie aż tak bardzo, chociaż stanowi znakomity przykład tego, że o osobach zajmujących kluczowe stanowiska w państwie i organach wpływających na zasadnicze aspekty życia publicznego, tak w zasadzie to nic nie wiemy, poza dziesięciozdaniowym *Resume* publikowanym na oficjalnych stronach. Wiemy jaką szkołę ten i ów delikwent skończył, wiemy częściowo gdzie pracował, dowiadujemy się niekiedy, że np. lubi grać w golfa, ale o etnicznym pochodzeniu, o duchowej afiliacji, o wzorcach ideowych, z reguły nie wiemy nic. A przecież warto wiedzieć czy ktoś współuczestniczący w najważniejszych decyzjach państwa rzutujących na całe życie obywateli, adoruje Freuda, Marksa, Engelsa i innych bożków żydowskich. Warto wiedzieć, bo adoracja ta zawsze przynosiła jak najgorsze skutki.

Z obecnym Sekretarzem Skarbu wiążą się też i inne ciekawe zjawiska. Oto na wieść o mianowaniu przez prezydenta-elekta Baracka Obamę na stanowisko Sekretarza Skarbu, giełda amerykańska "zareagowała" wzbijając się o 500 punktów przełamując kilkudniowy spadek i marazm "inwestorów". Mamy wreszcie wybawiciela - krzyżowano - oto przyszedł na pokład nowego, wspaniałego, lśniącego "s/s Obama" nowy guru mający uzdrowić gospodarkę - obwieściły wszystkie media, finansowe stacje i portale. Wskaźniki akcji brazylijskich kopalń, chińskich firm budowlanych, amerykańskich gigantów poszybowały w górę, bo oto przyszedł ktoś, kto "zmieni to wszystko", "uporządkuje bałagan", "przebuduje gospodarkę". Zaczęło się więc intensywne budowanie "nowego wspaniałego świata", chociaż, jak ostrzegł swoistym belkotem prezydent-elekt: "Będzie jeszcze gorzej zanim będzie lepiej". Pomóc miał w tym procesie Timothy Geithner - "nowy" człowiek, przyjęty przez "inwestorów" niemalże jako "wybawiciel". No cóż, przy takim poziomie medialnego kwiku można przeforsować każdą, nawet najbardziej absurdalną tezę, również i tą, że Geithner pochodzi spoza układu, jest "nowym" człowiekiem, no i że naprawi rozstrojoną gospodarkę. Przykład Geithera pokazuje przy okazji jak bardzo zmanipulowane są media, które potrafią na zawołanie wytworzyć efekt euforii czy przynębienia.

Z uwagi na skomplikowane powiązania współczesnych instrumentów ekonomicznych, stosowany żargon finansowy graniczący z nowomową oraz to, że ekonomia jako tzw. nauka społeczna czyli w gruncie rzeczy pseudonauka jest w stanie wyprodukować sprzeczne ze sobą odpowiedzi, przeciętnemu obywatelowi - można wmówić niemal wszystko. Wyspecjalizowane w nowoczesnej inżynierii socjotechnicznej wszechwładne media, nie tylko na poziomie treści, ale nawet doboru towarzyszącej oprawy muzycznej stwarzają "klimat dnia" - a to totalnej klęski, a to zwycięstwa w bitwie o "lepszą przyszłość", a to chwilowego zawieszenia. Wystarczy przez kilka dni posłuchać dajmy na to takiego *National Public Radio*, czyli tzw. publicznego radia amerykańskiego, by gołym okiem dostrzec, raz to prymitywną, raz niezwykle wyrafinowaną manipulację. Aby sprostać zapotrzebowaniu na "kozła ofiarnego", media te wyszukują też kolejnych "winnych" obecnego kryzysu by na nich chwilowo skupić wzbierającą się złość, a stają się nimi a to brokerzy i spekulanci z Wall Street, a to szefowie największych korporacji, a to oszuści mniejszego kalibru, których zresztą zawsze nie mało.

Najmniej winni okazują się być jednak ci, którzy od lat nieprzerwanie dzierżą władzę w poszczególnych rządowych bankach różnych państw, - w amerykańskim "federalnym" banku rezerwy i różnego rodzaju radach nadzorczych niezliczonych ciał finansowych, doradczych i "pozarządowych organizacji". Osobników tych nie eksponuje się zbyt w mediach, nie ukazuje się ich jako sprawców dzisiejszej klęski czy - broń Boże - jako złoczyńców. Wręcz przeciwnie - pokazywani są jako kolejni wybawcy. Jako jednego z takich wybawicieli przedstawiono Timothy Geithner'a, człowieka

który pomimo stosunkowo młodego jak na wyjadaczy finansowego establishmentu wieku, był doskonale znany w kręgach finansowych i od lat zaangażowany w budowę systemu określanego już nawet oficjalnie jako „nowy porządek finansowy”, czyli elementu masońskiego Nowego Porządku Światowego, w którym wszystkim będzie żyło się dobrze, a niektórym jeszcze lepiej. Geithner to ten sam pod którego baczny okiem doprowadzono do kryzysu, który tak „niespodziewanie wybuchł” w czasie kampanii prezydenckiej. Geithner zatem - to nie żaden człowiek spoza układu, lecz właśnie skuteczny wykonawca konkretnego Planu globalizacji. Jak pisze finansowy portal [CNN.Money](#) (listopad 2008):

„Geithner dzierżył przez ostatnie pięć lat jedno z najbardziej wpływowych, choć mało znanych stanowisk w tym kraju - jako prezydent *New York Federal Reserve*. Jego pozycja polegała w gruncie rzeczy na - nadzorowaniu Wall Street. Jest również członkiem federalnego komitetu 'otwartego rynku' (*Federal Open Market Committee*), który ustanawia politykę monetarną kraju”.

Jakże to więc: przez pięć ostatnich lat był tym, który „nadzorował” Wall Street, którego ekscesy wskazują się dziś jako przyczyny kryzysu, współustanawiał politykę monetarną, która zawiodła w całej rozciągłości, był również członkiem Rady Stosunków Międzynarodowych (*Council on Foreign Relations - CFR*), wpływowego ciała dbającego o podbudowę teoretyczną imperialnego ekspansjonizmu USA i pryncypialność wobec „największego sojusznika” USA, czyli Izraela - i pomimo tego uważa się jego kandydaturę jako idealną i mającą przynieść Ameryce zbawienie? Otóż, nie „pomimo”, lecz właśnie dlatego.

KONSEKWENCJE

Manipulacja medialna, nadreprezentacja Żydów na kluczowych stanowiskach systemu finansowego, brak otwartości, a najczęściej zupełna tajność wielkich operacji finansowych, ukrywanie przed społeczeństwem bieżących działań kluczowych instytucji, nie dopuszczanie do poznania historycznych danych, ścisłe strzeżenie planów na przyszłość, przyzwolenie na tworzenie nowych i funkcjonowanie nieetycznych instrumentów finansowych, przede wszystkim lichwy - to tylko kilka przyczyn obecnego kryzysu. Thomas Jefferson przestrzegał, że „Instytucje bankowe są bardziej niebezpieczne dla naszej wolności niż czynna armia”. Prezydent Andrew Jackson, który już przed 180 laty sprzeciwiał się próbom utworzenia przez żydowskich bankierów „Banku Narodowego” (*Bank of the United States*), za co przeprowadzono na jego życie trzy zamachy, o bankierach mówił bez ogródek: „Jesteście plemieniem żmijowym i złodziejami. Mam zamiar wyplenić was, i z pomocą Boga, wyplenię was. Ach, jeśli tylko naród amerykański zrozumiałby poziom niesprawiedliwości w naszym systemie monetarnym i systemie bankowym, to nim nastalby jutrzejszy dzień, wybuchłaby rewolucja.” Również i przedsoborowy Kościół, którego nie ogarnął jeszcze wtedy demoniczny obłęd 'dialogów' i 'ekumenizmów' - rozumiał przyczyny zła i jasno się na ten temat wypowiadał. Jak pisało w 1890 roku jezuickie wydawnictwo *Civiltà Cattolica*: „Jeśli jakiś kraj oddala się od Boga, poddaje się rządowi Żydów”.

Dzisiejsza Ameryka i cały świat nie tylko oddaliły się od Boga, lecz pograżyły w masońskiej i talmudycznej ideologii. Wcielane przez wrogów porządku społecznego plany totalnej kontroli nad wszystkim i wszystkimi oraz dążenie do dewastacji dusz każdego człowieka, stają się wzorcem funkcjonowania instytucji rządowych i społecznych. Równie głęboka dewastacja spotkała sferę gospodarczo-kapitałową, którą masońscy ideolodzy wraz ze światowymi lichwiarzami doprowadzili do sytuacji niemal bez wyjścia: pieniądź fiducjarny stał się bezwartościowym śmieciem, jedynie tymczasowo podtrzymywany przy życiu za pomocą różnego rodzaju tricków i interwencji, a teoretyczna możliwość powrotu do partytetu złota została przekreślona również przez wprowadzenie do obiegu fałszywych sztabek złota. Piszę „również”, ponieważ i bez tego wołanie o powrót do tej formy monetarnego porządku już dawno utraciło racjonalne podstawy w wyniku przejęcia kontroli nad zasobami złota przez prywatne banki, w większości w rękach zaledwie kilku rodzin spod „czerwonego”, „zielonego” czy innego herbu. W rezultacie takiego stanu rzeczy, bez radykalnego uporządkowania sfery bankowości z likwidacją lichwy i systemu frakcyjnego; bez bezwzględного powrotu fiskalnego konserwatyzmu; bez jak najszerzego zastosowania etyki w stosunkach społeczno-gospodarczych, tak doskonale wyrażonej w encyklikach papieży - Leona XIII i Piusa IX; bez powrotu do sprawdzonych, średniowiecznych metod autonomii lokalnych, rzemieślniczych, cechowych, stanowych; bez zastosowania zdrowej wizji dystrybucjonizmu i zasad solidarności społecznej; wreszcie, bez całkowitej przemiany mentalności społeczeństw z odrzuceniem cywilizacji śmierci, z milionami ofiar nienarodzonych dzieci, zgnębnej również z ekonomicznego punktu widzenia - jedyną drogą dla ludzkości będzie pogłębiający się chaos, a w konsekwencji totalna zapaść i powrót do wymiany barterowej.

Lech Maziakowski - Washington, DC [13 III 2010] [www.bibula.com](#)

[1] Sytuacja z wyszczególnianiem firm (*Yellow Pages*) i instytucji rządowych (*Blue Pages*) zaciera się w dobie Internetu, gdyż obie te grupy wylistowane są w jednej wyszukiwarce domeny [www.yellowpages.com](#). „Federal Reserve System” jest tam zakwalifikowany jako „instytucja rządowa”. Jeśli jednak wrócimy do drukowanych w latach wcześniejszych osobnych książek telefonicznych, zjawisko to stanie się czytelniejsze.

BANANOWY GIGANT ZLECAŁ ZABÓJSTWA I OBALAŁ RZĄDY

W wielu państwach samo mówienie o tej amerykańskiej firmie, wywołuje strach. Chociaż miała już wiele nazw, tam zawsze określa się ją w ten sam sposób - "el pulpo", ośmiornica. To dlatego, że od lat jej macki oplatają cały kontynent. Są to macki tak silne, że potrafią zmiążyć każdą przeszkodę. Często to zresztą robią.

W jakiej branży może działać firma, która od kilkudziesięciu lat regularnie oskarżana jest o wspieranie dyktatur, przekupywanie polityków, wynajmowanie morderców, a nawet zlecenie zamachu stanu? Jako pierwsza odpowiedź nasuwa się przemysł naftowy, ewentualnie zbrojeniowy. Jednak [Chiquita Brands International](#), bo o tej firmie mowa, swoją potęgę zbudowała głównie na uprawie bananów w Ameryce Łacińskiej.

Joel Bakan, profesor prawa z kanadyjskiego Uniwersytetu Kolumbii Brytyjskiej i zaciekle krytyk korporacji, w książce „The Corporation” porównuje wielkie konglomeraty biznesowe do osób wykazujących cechy psychopatyczne.

Psychopatia to, w wielkim skrócie, zaburzenie osobowości objawiające się nieumiejętnością współzycia w społeczeństwie, brakiem empatii, sumienia i samokrytyki oraz tendencją do wykorzystywania innych dla osiągnięcia swoich celów.

Postępowanie Chiquity, firmy kojarzonej z charakterystycznymi, niebiesko-żółtymi naklejkami na bananach sprzedawanych w większości sklepów spożywczych, zdaje się potwierdzać teorię Bakana - korporacja ta, czy to dla własnych korzyści czy na zlecenie mocodawców - uczyniła wiele zła.

BANANOWE KRÓLESTWA

[United Fruit Company](#) powstała w 1899 roku. Szybko odniosła finansowy sukces i zdobyła wpływy w całej Ameryce Łacińskiej. Stworzyła tam ogromne plantacje owoców, a w wielu krajach zmonopolizowała także przemysł kolejowy oraz usługi pocztowe i telegraficzne. Przez długi czas UFC była największym pracodawcą w świecie latynoskim. Państwa, w których firma działała, określano mianem „bananowych republik”.

Nie był to jednak pracodawca idealny. Dzięki swoim wpływom zmuszał południowe rządy do utrzymywania bardzo niskiego progu płacy minimalnej, którą dostawała większość lokalnych pracowników UFC. Realia kontynentu były takie, że wynagrodzenia te, wywołałyby co najwyżej pobłażliwy uśmiech na twarzy nawet ubogiego Amerykanina czy Europejczyka. Praca na plantacjach była katogą, a bananowy gigant nie starał się tej sytuacji poprawić. Nie patrzył także przychylnym okiem na związki zawodowe.

Do krajów, w których były uprawiane banany, wracało zaledwie kilkanaście centów z każdego dolara zarobionego przez koncern.

BANANOWA RZEŻ

W 1928 roku na plantacjach w Kolumbii wybuchły strajki pracowników UFC. Domagali się oni m.in. wprowadzenia 8-godzinnego dnia pracy oraz wolnych niedziel. W protestach brało udział kilkanaście - a według niektórych źródeł - nawet 30 tysięcy ludzi. 6 grudnia kolumbijskie wojsko otworzyło ogień do tłumu. Armia twierdziła, że zginęło 47 robotników. W tym czasie jednak amerykański ambasador w Bogocie, po konsultacji z przedstawicielami UFC, informował Departament Stanu o ponad tysiącu ofiar.

Cortes Vargas, generał odpowiedzialny za operację, tłumaczył potem, że wydał rozkaz stłumienia strajku siłą, aby ochronić Kolumbię przed zbrojną interwencją USA w obronie interesów UFC.

Dokładnej roli korporacji w wydarzeniu znanym jako „Bananowa masakra” nigdy nie wyjaśniono. Mimo to dla Latynosów jedno stało się pewne, że z United Fruit lepiej nie zadzierać.

BANANOWY PRZEWROT

Przez następne lata biznes kwitł bez większych zakłóceń. Amerykańska korporacja zapewniała latynoskim dyktatorom przychylne nastawienie Waszyngtonu, za co oni odwiedzali się ulgami podatkowymi i nie wtrącaли się w sprawy firmy.

Tę niepisana zasadę złamał Jacobo Arbenz Guzman, demokratycznie wybrany prezydent Gwatemali. W kraju tym owocowa korporacja była największym właścicielem ziemskim. Koncern użytkował jednak zaledwie kilka procent swoich gruntów, podczas gdy większość gwatemalskich chłopów nie posiadała najmniejszego nawet skrawka pola. A znaczna część społeczeństwa głodowała. W 1953 r. Arbenz rozpoczął proces redystrybucji ziemi, konfiskując za rekompensatą część odlogów należących do UFC, które zostały następnie przekazane rolnikom. Stany Zjednoczone uznały, iż jest to „niepodważalny” dowód na to, że Gwatemala wpadła w kleszcze komunizmu... Przyznały tym samym sobie prawo do „ochrony amerykańskich interesów”.

Rok później Gwatemala miała już nowego przywódcę - Carlosa Castillo Armasa, okrutnego pułkownika, który za pieniądze CIA wynajął armię najemników i obalił prezydenta. Wkrótce w całym państwie rozpoczęły się krwawe represje na tysiącach rzekomych „agentów Moskwy”.

Biały Dom do dzisiaj utrzymuje, że to „zagrożenie komunistyczne i względy bezpieczeństwa” były jedynymi motywami obalenia Arbenza. Skargi UFC nie miały wywrzeć żadnego wpływu na tę decyzję. Wiarygodności tej wersji ujmuje kilka specyficznych zbiegów okoliczności. Gwatemalski prezydent zaczął być otwarcie określany przez Waszyngton jako komunista, ale dopiero po tym, gdy zaczął planować konfiskatę ziem bananowego giganta. Funkcję Sekretarza Stanu w tym czasie pełnił John Foster Dulles, który przez wiele lat był prawnikiem tego koncernu, a w 1954 należał do wspólników United Fruit. Na szczycie CIA stał jego brat, Allen Dulles. Zamykając listę „przypadków” należy dodać, że w przerwie między ferowaniem wyrokami śmierci, Armas zarządził zwrot gruntów UFC.

Koncern mógł w spokoju zajmować się uprawianiem swoich bananów i ananasów w tym regionie. Gwatemalę, po 10 latach demokratycznych rządów [tak zwane „10 Lat Wiosny”] czekały natomiast cztery dekady dyktatur, które przyniosły śmierć być może nawet 250 tysięcy osób.

W 1959 roku Fidel Castro rozpoczął nacjonalizację plantacji trzciny cukrowej należących do UFC. Dwa lata później doszło do zaplanowanej przez CIA inwazji w Zatoce Świń. Tym razem amerykański wywiad przegrał. United Fruit pomogło w ataku na wyspę, wypożyczając dwa statki do transportu żołnierzy. Choć przypomina to scenariusz z Gwatemali, trzeba pamiętać, że Castro i Che Guevara mieli w USA znacznie więcej wrogów niż Arbenz. niesprawiedliwym byłoby zatem stawianie bananowej korporacji w roli głównego konspiratora w tym przypadku.

BANANOWI TERRORYŚCI

Inaczej sytuacja prezentuje się w najnowszej odsłonie kontrowersji wokół firmy. Chiquita Brands International [bo tak się od 1989 r. ten koncern nazywał] została w 2004 r. oskarżona przez Departament Sprawiedliwości USA o przekazanie 1,7 miliona dolarów znanej z okrutności bojówce Zjednoczonych Sił Zbrojnych Kolumbii (AUC).

Podczas trwającego trzy lata procesu korporacja broniła się, że nie wiedziała, iż opłacana grupa została dodana do takiej listy - pomimo że informacja ta była powtarzana we wszystkich światowych mediach. W końcu prawnicy firmy zaproponowali ugodę: koncern przyzna się do jednego przypadku przekazywania pieniędzy AUC i poniesie karę finansową, ale osobom odpowiedzialnym za cały bałagan nie zostaną postawione żadne zarzuty. Departament Sprawiedliwości przystał na propozycję i zarządził grzywnę w wysokości 25 milionów dolarów. Chiquita jest pierwszą amerykańską firmą, której udowodniono opłacanie organizacji terrorystycznej.

Wyrok amerykańskiego sądu miał bardzo duże znaczenie dla Kolumbijczyków. Pokazał on bowiem, że „ośmiornica”, jak się w Ameryce Łacińskiej nazywa dawne UFC, nie jest już nietykalna. Na kolejne procesy - nie trzeba było długo czekać.

Bliscy tych 173 osób zamordowanych przez bojówkę na terenach plantacyjnych oskarżyli Chiquitę o to, że sama zlecała zabijanie konkretnych osób. Miało to zastraszyć innych pracowników i zniechęcić ich do organizowania się w związki zawodowe lub żądania podwyżek.

W grudniu 2009 r. oskarżyciele otrzymali niespodziewany prezent w postaci zeznań Jose Lugo [alias 'Carlos Tijeras'], jednego z dowódców AUC ekstradytowanych do USA. Przyznał on, że przedstawiciele bananowego koncernu regularnie kontaktowali się z bojówkarcami i wydawali wyroki na poszczególnych ludzi - nazywali ich „problemami”. Wszyscy wiedzieliśmy że to znaczy, że mamy zabić te osoby. Zazwyczaj byli to liderzy lub członkowie związków oraz osobnicy, którzy chcieli zatrzymać albo odzyskać ziemie przewidziane na plantacje - deklarował pod przysięgą przed amerykańskim sądem. Podobne praktyki stosować miał także inny bananowy gigant działający w Kolumbii - Dole Food Company. Proces trwa.

OŚMIORNICA BEZ MACEK?

Chiquita sprzedała swoje kolumbijskie tereny uprawne krótko po tym, jak świat usłyszał o jej kontaktach z bojówką, która w ciągu 10 lat swojego istnienia zabiła około 10 tysięcy osób.

Płacenie za ochronę jest jednak czymś zupełnie innym niż zlecenie zabójstw. Jeśli to drugie zostanie firmie udowodnione, wysokość odszkodowań i spadek reputacji mogą być dla niej bardzo mocnym ciosem; może nawet zmuszą koncern do wycofania się z Ameryki Łacińskiej.

Wątpliwe, by wiele osób tęskniło za mroczną korporacją, której macki od ponad stu lat oplatały cały kontynent.

TRZYDZIESTOLECIE DRUGIEGO SOBORU WATYKAŃSKIEGO

CZEŚĆ V

Na początku roku 1936, Delegat Apostolski Roncalli wystąpił w Turcji z inicjatywą wprowadzenia języka wulgarnego [narodowego] do liturgii Mszy Świętej, a więc języka tureckiego. Nie chodziło tu o czytanie Ewangelii w języku wulgarnym, co było już od dawna przyjęte w Kościele katolickim, lecz wprowadzenie języka tureckiego do samej liturgii mszalnej, usuwając łacinę. Spowodował tym, że ogromna większość wiernych przestała brać udział w Mszy Świętej "sturczony" gdyż tak katolicy, jak i prawosławni, energicznie protestowali przeciwko temu nowinkarstwu. Natychmiast też poszły skargi do Watykanu który nie aprobował tych nowości. Z okazji złożenia wizyty podsekretarzowi w ministerstwie spraw zagranicznych, Delegat Apostolski Roncalli wyraził mu swoje uznanie co do laicyzacji Republiki Tureckiej, mimo iż parę lat przed tą rozmową papież Pius XI, w encyklice *Quas Primas* (1925) surowo potępił laicyzm i separację Kościoła od Państwa.

Będąc Delegatem Apostolskim w Turcji był też Roncalli jednocześnie Delegatem Apostolskim i w Grecji. Przebywając w obu tych krajach szukał kontaktów i przyjaźni z anglikanami i z prawosławnymi, uprawiając w ten sposób swój ulubiony "ekumenizm". Tę działalność ekumeniczną Delegata Apostolskiego Roncalliego opisują szczegółowo autorzy M. Trevor, *Pope John*, Londyn, 1967, oraz Hebblethwaite, *Jean XXIII, Le pape du Concile*, 1988.

Jest wiele innych książek, które sensacyjnie opisują pobyt Delegata Apostolskiego Roncalliego na Bliskim Wschodzie, ale ich tutaj nie bierzemy pod uwagę. Jedno jednak jest pewne, a mianowicie, że Roncalli, późniejszy papież Jan XXIII, był gorącym zwolennikiem "ekumenizmu" szeroko pojętego jako "braterstwo wszystkich ze wszystkimi" i w tej sprawie odegrał bardzo ważną rolę, zwołując swój "ekumeniczny" Drugi Sobór Watykański. Należy też stwierdzić, że Roncalli, jako Delegat Apostolski w Turcji i Bułgarii a potem jako Nuncjusz we Francji, biorąc udział w różnych nabożeństwach protestanckich, prawosławnych i żydowskich, nie przestrzegał przepisów ówczesnego prawa kanonicznego, które tego kategorycznie zabraniało.

Było już poprzednio wspomniane, że pod koniec drugiej wojny światowej, Delegat Apostolski Roncalli znajdował się w Turcji, a więc w kraju, który zachował do końca wojny neutralność, stąd też stał się miejscem spotkań dyplomatycznych, w czym rola dyplomatyczna przedstawiciela Watykanu była wyjątkowa. Także w czasie wojny, Roncalli musiał załatwiać wiele spraw co do możliwości przybywania Żydów, głównie tych, którzy byli poważnie zagrożeni prześladowaniami ze strony Hitlera, aby ułatwić im zamieszkanie w Palestynie, która w owym czasie znajdowała się pod władzą polityczną Anglii, gdyż pod koniec pierwszej wojny światowej została odebrana Turcji przez utworzoną Ligę Narodów (instytucja na którą miała duży wpływ masoneria) i została oddana pod opiekę Anglii, która zobowiązała się nie tylko ułatwiać imigrację Żydów do Palestyny, ale i pomagać Żydom w założeniu niepodległego Państwa Izrael.

To w tym okresie, będąc Delegatem Apostolskim na Bliskim Wschodzie, bp Roncalli wielokrotnie wypowiadał się o wspólnym ojcostwie Bożym chrześcijan i Żydów, co nie jest zgodne z nauką Chrystusa Pana, którą nam przekazał św. Jan w swej Ewangelii, **gdyż Pan Jezus powiedział** [do Żydów]: **"Wy macie diabła za ojca... Kto jest z Boga, słów Bożych słucha. Wy dlatego mnie nie słuchacie, że z Boga nie jesteście"** (J 8, 44nn).

W grudniu 1944 roku Delegat Apostolski Roncalli zostaje przeniesiony do Francji, zostając Nuncjuszem. Przed opuszczeniem Turcji odprawił uroczystą Mszę Świętą i wygłosił kazanie na temat braterstwa wszystkich ludzi w stylu czysto masońskim (zob. Hebblethwaite, dz. cyt.).

Jednak jego przyjazd do Paryża był raczej przypadkowy, gdyż Stolica Apostolska najpierw wyznaczyła na to stanowisko Józefa Fietta, który reprezentował Watykan w Argentynie. Miał on natychmiast przylecieć samolotem do Paryża wobec zmiany rządu francuskiego, jako iż alianci już 6-go czerwca wylądowali w Normandii, a 25 sierpnia de Gaulle uroczystie obejmował władzę w Paryżu, biorąc udział w uroczystym *Magnificat* w katedrze Notre-Dame. Okazało się jednak, że Nuncjusz Fietta był chory na serce i lekarze zabronili mu odbywać podróż z Buenos Aires do Paryża samolotem, musiał więc podróż tę odbyć statkiem. Tymczasem wydarzenia polityczne były we Francji bardzo szybkie, wobec tej sytuacji Watykan zmienił swą decyzję i wyznaczył na Nuncjusza w Paryżu bpa Roncalliego. Był on też dobrze widziany przez rząd gen. de Gaulle, jako że był to rząd raczej lewicowy, a wiadomo było, że Nuncjusz Roncalli miał sympatie lewicowe, więc też czuł się we Francji jak ryba w wodzie. Francja, jako kraj, została zlaicyzowana już przez rewolucję francuską, ale po drugiej wojnie światowej zaczęła się na serio laicyzacja Kościoła katolickiego we Francji, wielkie triumfy modernizmu i szukanie zemsty na prawicy, która rządziła za Marszałka Petaina. Tysiące francuskich narodowców zostało zamordowanych, także tysiące ukrywało się pod innymi nazwiskami.

Ówczesny arcybiskup Paryża, kard. Suhard, był kapłanem wyjątkowo świętobliwym i gorliwym w swej pracy duszpasterskiej, ale także bardzo otwartym na wszelkie nowinkarstwo. Wydał słynny list pasterski *Essor ou declin de l'Eglise*.

Oczywiście chodzi tu o cały Kościół, a nie tylko o sytuację Kościoła we Francji. W liście tym przestrzegał przed niebezpieczeństwem tzw. "integryzmu", a przecież samo słowo integralizm jest wzięte z pism św. Pawła, który wzywał do zachowania *intergritatem Fidei*, a więc chodzi św. Pawłowi o zachowanie integralności, czyli całości Wiary Świętej. Właśnie Francji groziło w owym czasie wielkie niebezpieczeństwo modernizmu i jego "nowej teologii", a niebezpieczeństwo to polegało na zajmowaniu postawy "wybiórczej", zamiast "integralnej". Wybiórczość zawsze i nieuniknienie prowadzi do sekciarstwa. Kardynał Suhard cieszył się w swym liście duszpasterskim, że nadchodzi czas "nowego Kościoła", a więc innego niż tradycyjny Kościół dwutysięcletni, nie zdając sobie sprawy, że jeśli ten Kościół jest "nowym", to nie jest już Kościołem Chrystusa Pana, ani też Apostołów. Co innego jest "nowość" w studiach, czy w naukach świeckich, gdzie stały postęp i rozwój są niezbędne, a co innego w sprawie religii, zwłaszcza chrześcijańskiej, która opiera się na Objawieniu danym nam przez Boga raz na zawsze. Możemy, oczywiście, czynić postępy w poznawaniu i zgłębianiu nauki Chrystusa Pana, ale sama ta nauka jest niezmienna, a więc nie dopuszcza żadnego nowinkarstwa.

Kardynał Suhard wydał wkrótce drugi list duszpasterski pod tytułem *Le pretre dans la cite*: [1949]. List ten odnosił się głównie do grupy księży-robotników. Sama idea nawiązania kontaktów z warstwą robotniczą była bardzo słuszna, gdyż warstwa ta była w owym czasie niemal całkowicie odseparowana od Kościoła. Niestety, metoda Kard. Suharda okazała się niewłaściwą; gdyż wymagała, aby księża owi pracowali na równi z robotnikami, w ich zawodach, całkowicie dzieląc ich zwyczaje i to we wszystkim. Doszło nawet do tego, że z nakazu Kardynała - księża-robotnicy musieli mieć także swoje "przyjaciółki", taki był wówczas zwyczaj wśród robotników. Te przyjaciółki były wybierane przez partię komunistyczną. Po kilku latach tych eksperymentów prawie wszyscy księża stali się komunistami całkowicie tracąc wiarę, z wyjątkiem tylko tych, którzy wcześniej opuścili te doświadczenia. Wielu z nich opisało to wszystko w swych pamiętnikach wydanych drukiem. Dziś wiadomo, że inicjatywa tego wszystkiego wyszła ze strony partii komunistycznej. Jeden z tych księży-robotników, *l'abbé Boulier* wziął udział w Konferencji Pokoju zorganizowanej w Warszawie [1948] i w swym przemówieniu powiedział: **"... jeśli nas zapytacie czy wśród nas są komuniści, to odpowiadamy: wszyscy jesteśmy komunistami"** (zob. Hebblethwaite, o.c. s. 248).

Poglądy kard. Suharda, arcybiskupa Paryża, zbiegały się z poglądami Nuncjusza Roncalliego, stąd też nic dziwnego, że współpracowali bardzo przyjaźnie. Natomiast w tym samym czasie w Rzymie, papież Pius XII zachowuje postawę antykomunistyczną, jasno zadeklarowaną już przez jego poprzednika, papieża Piusa XI w słynnej encyklice *Divini Redemptoris* [1937]. Jednakże, mimo iż postawa papieża Piusa XII jest niezmienną w sprawie potępienia marksistowskiego komunizmu, także w Watykanie zaczynają się już wówczas wpływy "umiarkowanych" kardynałów i prałatów co do tych eksperymentów. "Misja Paryska", która zalecała ów ruch księży-robotników, znajdujących się pod wpływem partii komunistycznej, została przychylnie opisana w dzienniku watykańskim *L'Osservatore Romano* (z dnia 31 marca 1949 r.), a to dzięki prałatowi Montiniemu. W parę miesięcy później, 30 maja 1949 r., umiera Kard. Suhard, a w miesiąc po jego śmierci papież Pius XII wydaje dekret (30 czerwca 1949 r.) ekskomuniki za przynależność katolików do partii komunistycznej. Nuncjusz Roncalli uniknął komentowania owego dekretu, wyjeżdżając szybko z Paryża na kilka miesięcy dla zapoznania się z sytuacją w prowincjach Francji, stąd też interpretacja owej ekskomuniki przypadła zakłopotanym kardynałom Francji.

Jednak Nuncjusz Roncalli, podróżując po całej Francji, nie zaniedbał sprawy następcy po zmarłym kard. Suhardzie i zdołał uzyskać w Watykanie nominację dla bpa Felina, który był przecież prezydentem stowarzyszenia prokomunistycznego *Pax Christi*, ściśle związanego ze Stowarzyszeniem PAX Bolesława Piaseckiego w Polsce.

Tymczasem papież Pius XII wydaje następną encyklikę, wyjątkowo surową, *Humani generis* [12 sierpnia 1950] w której potępia tzw. "nową teologię" szerzoną przez kard. Danielou, dominikanów Chenu i Congar, jezuitów De Lubac, Rondet, Bouillard, Teilharda de Chardin i wielu innych. Niestety, ta nowa teologia została później w dużym stopniu przyjęta przez dokumenty DSW.

W międzyczasie, zachorował ciężko Patriarcha Wenecji, Carlo Agostini, stąd też Sekretarz Stanu prałat Montini zapytuje listownie Nuncjusza Roncalliego, czy chciałby objąć to stanowisko. Nuncjusz Roncalli chętnie przyjmuje tę propozycję i jednocześnie otrzymuje godność kardynała [1953]. Również w tym samym roku, otrzymuje godność kardynała arcybiskup Paryża Felin. Także w tym czasie Nuncjusz Apostolski Roncalli nawiązuje serdeczne stosunki z Prezydentem Francji Vincentem Auriol (wybitnym socjalistą i ateuszem), stąd też swój "beret" kardynalski otrzymał z rąk Prezydenta Francji na specjalnej uroczystej ceremonii w pałacu prezydenckim.

Niemniej uroczystym było pożegnanie się nuncjusza Roncalliego ze swym wielkim przyjacielem Eduardem Herriot, Prezydentem Parlamentu Francji, słynnym wrogiem Chrześcijaństwa i przywódcą skrajnie lewicowej Partii Radykalnej.

Nuncjusz Roncalli polubił Francję i przedłużył w niej swój pobyt aż do 23 lutego 1953 r. W czasie swego dość długiego pobytu w Paryżu, nuncjusz Roncalli zaprzyjaźnił się także z prof. Karolem Burckhardtem - w owym czasie ambasadorem Szwajcarii w Paryżu. Otóż ciekawa jest opinia Burckhardta o nuncjuszu Roncallim z okazji wybrania go na papieża: "*Jest on deistą i racjonalistą, bardzo odległym od Chrześcijaństwa średniowiecznego; zmieni on wiele w Kościele i Kościół po jego pontyfikacie już nie będzie tym samym*" [zob. korespondencja między Maxem Rycherem i Karolem Burckhardtem, cytowana w czasopiśmie *Einsicht*, kwiecień 1981, s. 303].

Jedną z głównych zasad współżycia ze wszystkimi nuncjusza Roncalliego, a szczególnie już papieża Jana XXIII, było powiedzenie: "*szukać przede wszystkim tego co łączy, a nie tego co dzieli*". Tę zasadę dyplomata Roncalli szczególnie stosował w sprawach ekumenizmu i stała się ona jego główną zasadą, kiedy został wybrany na papieża. Przypomnijmy jednak, że tradycyjna postawa Watykanu w tych sprawach była całkowicie odwrotna, gdyż instrukcja Świętego Urzędu, z dnia 22 grudnia 1949 roku, odnośnie ekumenizmu, nakazuje: "*Niechaj biskupi czuwają, aby pod fałszywym pretekstem, według którego należy kłaść nacisk na to co łączy, a nie na to co dzieli, nie faworyzować niebezpiecznego indyferentyzmu*". Niestety papież Jan XXIII nie wyzbył się tej niebezpiecznej dla Kościoła zasady indyferentyzmu. Od czasu jego pontyfikatu zasada ta stała się dominującą w Watykanie, zwłaszcza w czasie obrad DSW i po DSW, a także przejęta została przez następnych papieży, a nawet, niestety, rozpowszechniła się niemal w całym Kościele.

Nuncjusza Roncalliego charakteryzowało także niechętnie stanowisko wobec kultu maryjnego. Jego zasadą było *de Maria satis* zapewne nie dlatego, aby nie miał szczególnej miłości do Matki Bożej, ale, być może dlatego, że uważał iż katolicki kult maryjny utrudnia realizację "ekumenizmu", gdyż protestanci są przeciwni temu kultowi.

Nuncjusz Roncalli protestował więc przeciwko ogłoszeniu dogmatu Wniebowzięcia (1950), a także przeciwko ustanowieniu przez Piusa XII święta maryjnego *Pro Regalitate Mariae*, czyli "Maryi Królowej" (*ad Coeli Reginam*), wprowadzonego do kalendarza na dzień 30 maja.

Roncalli przejął także od Karola Rahnera teorię o "chrześcijaństwie anonimowym", z tą jednak różnicą, że dla Roncalliego tymi "chrześcijanami anonimowymi" byli wszelkiego rodzaju marksiści.

Może te wiadomości o karierze ks Roncalliego, późniejszego papieża Jana XXIII, inicjatora zwołania Drugiego Soboru Watykańskiego, są dla niektórych czytelników niepotrzebnymi anegdotkami, jednakże są koniecznymi informacjami dla zrozumienia dlaczego DSW zajął w wielu sprawach postawę całkowicie sprzeczną z całą tradycją chrześcijańską a przede wszystkim z nauką co najmniej piętnastu przedsoborowych kolejnych papieży.

ROZDZIAŁ II ROLA PRAŁATA MONTINIEGO

Po śmierci papieża Piusa XI, w roku 1939, papieżem zostaje wybrany kardynał Pacelli, który rządził Kościołem prawie przez dwadzieścia lat. Został on papieżem kiedy w wielu krajach Europy doszły do władzy ustroje autorytarne, a nawet i totalitarne. Hiszpania, Włochy i Portugalia miały rządy autorytarne: gen. Franco w Hiszpanii, prof. Salazar w Portugalii i Benito Mussolini we Włoszech; a rządy totalitarne w Niemczech Hitlera i Stalina w Rosji.

Kardynał Pacelli przez wiele lat był nuncjuszem w Niemczech, właśnie w okresie rządów Hitlera, stąd też dobrze znał hitleryzm. Kiedy został papieżem nie miał Sekretarza Stanu lecz jednocześnie dwóch prosekretarzy prałatów: Tardiniego i Montiniego. Tardini był raczej tradycjonalistą, podczas gdy Montini miał sympatie lewicowe i nowatorskie. Papież Pius XII odznaczał się świętobliwością i wyjątkową gorliwością; udzielał wielu audiencji prywatnych i grupowych, oraz dla pielgrzymek. Tylko w jednym roku 1953 udzielił 492 audiencji, 3.832 dla grup, i 381.534 dla pielgrzymów. Plac św. Piotra był każdej niedzieli przepelniony, jak też wszystkie ulice sąsiednie. Był on jednak człowiekiem chorowitym (choć uprawiał sport, głównie jazdę konną) i w ostatnich latach życia cierpiał na wrzody żołądka, odżywiany był prawie wyłącznie zastrzykami. W roku 1954 był bardzo ciężko chory i podobno wtedy ukazał mu się Chrystus Pan i cudownie go uzdrowił, obdarzając zdrowiem i siłami jeszcze na cztery lata. To właśnie przed tym cudownym uzdrowieniem, prałat Roncalli pisał w liście do swej rodziny, że Papież Pius XII jest ciężko chory i utrzymuje się przy życiu tylko dzięki zastrzykom. Natomiast bratanek papieża, Carlo Pacelli, podejrzewał, że papież jest systematycznie truty przez swych lekarzy (zob. Antonio Spinosa, *Pio XII l'ultimo Papa*, 1992, s. 342, cyt. w *Sodalitium* nr 33 s. 43).

W owym okresie prałat Bugnini zaczął już swoją reformę liturgii, mając ułatwiony dostęp do papieża Piusa XII. To pod kierunkiem prałata Bugniniego zaczęła się już wtedy reforma liturgii rozpoczynając od zmian w brewiarzu i przygotowania nowego tłumaczenia psalmów. Schorowany Pius XII, zdaje

się, iż nie był należycie informowany o tych zmianach. Do owego czasu w Kościele katolickim obowiązywał wszystkich księży i zakonników jeden i jedyny brewiarz łaciński. W czasie wojny dokonano wielu przekładów na różne języki. Gdy pod koniec wojny przybyłem do Paryża, miałem ze sobą tylko jeden tom brewiarza, część jesienną, więc zaraz postarałem się kupić ów nowy brewiarz w języku francuskim i od razu zauważyłem, że przekład jest skandaliczny z punktu widzenia teologicznego. Oto mały przykład: psalm 89 w przekładzie francuskim: *Seigneur avant que naissent les montagnes que tu enfantes la terre et le monde* - po polsku: "Zanim narodziły się góry, Ty Panie rodzisz ziemię i świat". Jest to oczywista herezja, bo według tradycyjnej teologii katolickiej Bóg Ojciec zrodził tylko i jedynie Słowo (*Logos, Verbo*), a więc Syna swego jedyne; wszystko inne jest przez Boga stworzone, a nie zrodzone.

CDN

Ks. Michał Poradowski, „Trzydziestolecie Drugiego Soboru Watykańskiego”

Sprawdzajmy etykiety produktów które kupujemy!!!

GMO: NAUKOWCY NA ŁASCE KONCERNÓW; SPOŁECZEŃSTWO NA ŁASCE MEDIÓW

CZEŚĆ IV (ostatnia)

Oficjalna propaganda głosi, że GMO jest bezpieczne i zdrowe oraz dokładnie przebadane. Tymczasem naukowcy protestują, że nie wolno im prowadzić badań nad GMO.

DEBATA Z KNEBLEM W USTACH

W polskim Sejmie trwają prace nad rządowym projektem ustawy: "Prawo o organizmach genetycznie zmodyfikowanych", trwa też społeczna debata. Konsumenci są sceptyczni, naukowcy akcentują potrzebę stosowania się do zasady przezorności (ang. precautionary principle), rolnicy tradycyjni i ekologiczni martwią się o swoją przyszłość. Za uprawami GMO opowiadają się wielkoprzemysłowe organizacje producenckie i niektórzy biotechnolodzy - wspierani bardzo silnie przez tak zwane "opiniotwórcze" media.

Osobiście zetknęłam się z tym, jak media blokują i filtrują informacje. Do dziś nie mogę wyjść ze zdumienia, jak można było, po półtoragodzinnej konferencji prasowej, na której czterech naukowców tłumaczy potencjalne zagrożenia - napisać, że „ekolodzy protestowali przeciwko GMO”. Nie mogę również zrozumieć, jak to się dzieje, że podczas gdy na wysłuchaniu publicznym w Sejmie przynajmniej 10 osób z tytułami naukowymi wyraża się krytycznie o otwarciu Polski na uprawy GMO - media ten fakt całkowicie przemilczają. Cytują za to wiernie niejakiego „króla kukurydzy”, Tadeusza Szymańczaka, który głosi takie prawdy objawione: „Myślałem, że organizacje ekologiczne przedstawią badania nt. Szkodliwości. Takich badań nie ma, a podnoszenie mitu do faktu jest kłamstwem”. O Szymańczaku zaś, pisze bez ogródek internauta na forum Pierwszego Portalu Rolnego: - „To nie król kukurydzy, to Polak kupiony przez Monsanto”...

JAK TO Z GMO BYŁO

Genetycznie modyfikowane uprawy i żywność zostały dopuszczone na rynek w USA zanim naukowcy zdolali dokładnie przebadać ich wpływ na zdrowie i środowisko naturalne. Stało się tak m.in. dlatego, że lobbyści zadbali, aby procedury formalno-prawne nie były zbyt skomplikowane. Proces legislacyjny oparto o teorię „zasadniczej równoważności” odmian tradycyjnych i transgenicznych. Założono, że GM i naturalne odmiany roślin różnią się tylko i wyłącznie obecnością transgeny i są pod każdym innym względem „zasadniczo równoważne”, czyli takie same. Dzięki temu sprytnemu zabiegowi, dopuszczenie odmian GMO do obrotu nie wymaga przeprowadzenia klasycznych badań toksykologicznych, tak jak w przypadku każdej innej substancji, która ma być dodawana do żywności. To ciekawostka, o której mało kto wie, a o której media - oczywiście - nie wspominają.

GMO: NAUKOWCY NA ŁASCE KONCERNÓW

Nie tylko w Polsce media są piewcami agrotechniki i tzw. zielonej biotechnologii. Jak pisze zeszłoroczny Scientific American, powszechnie jesteście karmieni takimi sloganami: „Postęp w agrotechnice uczynił rolnictwo bardziej wydajnym niż kiedykolwiek wcześniej”. „Farmerzy otrzymują większe plony i są w stanie wykarmić więcej ludzi”. I tak dalej..., bez końca. Jednak, jak zauważa Scientific American - nie da się zweryfikować, czy odmiany GM są tak wspaniałe jak głosi reklama. A to dlatego, że koncerny agrotechniczne blokują badania, które chcieliby prowadzić niezależni naukowcy.

Kupując GM ziarno siewne, klient musi podpisać umowę, która ogranicza możliwości wykorzystania ziarna. I słusznie - chroni to bowiem przed "kopiowaniem" ulepszeń genetycznych, które decydują o wyjątkowości tej odmiany. Ale firmy agrotechniczne takie jak Monsanto, Pioneer i Syngenta poszły dalej: pod groźbą procesu sądowego naukowcy nie mogą prowadzić badań, porównując jak sprawują się GM ziarna w różnych warunkach polowych. Nie mogą też porównać nasion jednej firmy z nasionami innej. I, co pewnie najważniejsze - nie mogą badać, czy GM uprawy nie prowadzą do niezamierzonych efektów ubocznych w środowisku naturalnym.

Oczywiście, w czasopiśmie naukowych stale ukazują się wyniki badań nad GM roślinami i żywnością, ale tylko badania zaaprobowane przez koncerny. W wielu przypadkach, doświadczenia, które miały początkowo zgodę od firm nasiennych, zostały później zablokowane, ponieważ wyniki nie były "satisfakcjonujące". "Wiedźcie, że wielokrotnie to nie jest jedynie zwykła odmowa wykonywania niektórych doświadczeń, ale to są zgody i odmowy wybiórczo przydzielane na podstawie dokonanej przez „przemysł” oceny na ile „przyjazny” czy też „krytyczny” wobec biotechnologii może się okazać dany naukowiec - mówi Elson J. Shields, entomolog z Uniwersytetu Cornell w oficjalnym liście protestacyjnym do Agencji Ochrony Środowiska [Environmental Protection Agency, EPA].

Shields jest rzecznikiem grupy 24 naukowców specjalizujących się w dziedzinie szkodników upraw kukurydzy, którzy sprzeciwiają się takim praktykom. Ponieważ naukowcy ci obawiają się, że nie dostaną zgody na dalsze badania, większość z nich zachowuje anonimowość. Niemniej grupa wysłała swoje stanowisko do EPA w proteście przeciwko ograniczaniu możliwości badań.

Jak pisze Scientific American, byłoby wielce niepokojące, gdyby jakakolwiek inna firma chciała ograniczać niezależne badania swoich wyrobów i publikację wyników. Wyobraźmy sobie np., że firmy motoryzacyjne zabraniają wykonywania testów zderzeniowych i publikowania wyników w czasopiśmie konsumenckich. Ale kiedy naukowcy mają ograniczone prawo badania surowców istotnych w łańcuchu żywnościowym, i roślin, które pokrywają znaczącą część naszych pól uprawnych - te restrykcje zaczynają być niebezpieczne - piszą wydawcy Scientific American. I konkludują: Koncerny powinny natychmiast znieść ograniczenia dla badań naukowych, a EPA powinna zastrzec, że niezależni naukowcy muszą mieć otwarty dostęp do wszystkich odmian znajdujących się na rynku. Rewolucja biotechnologiczna to b. ważna sprawa, aby mogła być trzymana za zamkniętymi drzwiami.

NATURE BIOTECHNOLOGY: W WIELKIEJ TAJEMNICY

Jak pisze Emily Waltz w Nature Biotechnology z 2009 r.: nie jest tajemnicą, że przemysł zbożowy jest na tyle potężny, że potrafi kształtować informację medialną na temat GMO. To koncerny decydują kto i jak może badać GMO.

Koncerny nasienne mogą odmówić zgody na badania pod dowolnym pozorem, mówi Paul Gepts, genetyk roślin z University of California. W 2002 r. Gepts chciał prowadzić badania nad skażeniem genetycznym kukurydzy w Meksyku, po tym, jak Ignacio Chapela wykazał obecność transgenów w rodzimych odmianach hodowanych przez lokalnych rolników w tej kolebce kukurydzy. Poprosił trzy koncerny o próbki nasion transgeniczných. Monsanto dała mu próbkę mączki kukurydzianej, z odmiany uprawianej w Europie, firma Pioneer - nie miała „odpowiedniego materiału” do badań, a przedstawiciel Syngenty poradził, aby nawiązać współpracę z rządem meksykańskim, który prowadzi podobne badania. Inny naukowiec chciał porównać, jak sprawują się odmiany kukurydzy odpornej na szkodniki produkowane przez trzy koncerny. W 2007 r. uzyskał od nich próbki ziarna siewnego, ale już w 2008 r. rzecznik Syngenty powiedział, że firma zdecydowała że „nie będzie się angażować w badania porównawcze”.

Występując o zgodę na badania, naukowiec musi przedstawić firmie, szczegóły, planowanego eksperymentu. Nie zawsze chce to zrobić, choćby dlatego, że to pozwala firmie już zawnazę przygotować argumentację i atak na wypadek, gdyby nie spodobały się wyniki. Kiedy uda się jednak uzgodnić kształt eksperymentu, następują dalsze negocjacje. I na tym etapie często się one załamują - kiedy koncern chce ograniczyć prawo do publikacji lub kontrolować jej kształt. A kiedy bowiem naukowiec prowadzi badania finansowane z publicznych pieniędzy - badania pozostają własnością publiczną i muszą zostać opublikowane - nie można więc podpisywać zobowiązań do utrzymania wyników w tajemnicy.

Naukowiec może więc ostatecznie zrobić trzy rzeczy - może zaniechać badań, i wielu tak robi, może też zmienić protokół doświadczalny tak, aby uzyskać akceptację koncernu [nie koniecznie z korzyścią dla planowanych doświadczeń], albo - może łamać prawo... i wykonywać badania bez zezwoleń.

GDZIE SĄ DOWODY?

Zdarza się, że badacze uniwersyteccy zgłaszają zastrzeżenia do agencji odpowiedzialnych za dopuszczenie na rynek GM odmian uprawnych. W 2001 Pioneer pracował nad kukurydzą Cry34Ab1/Cry35Ab1, odporną na szkodniki. Kilku laboratoriom uniwersyteckim zlecono badania nad potencjalną toksycznością w odniesieniu do biedronki, badacze stwierdzili, że blisko 100% larw karmionych GM roślinami, ginie w ósmym dniu cyklu rozwojowego. Firma zabroniła publikacji tych wyników - mówi naukowiec, który zastrzega sobie anonimowość. Dwa lata później, Pioneer wprowadził na rynek odmianę kukurydzy zawierającą tę samą kombinację toksyn Cry ale w danych dostarczonych EPA nie było żadnej wzmianki o potencjalnej toksyczności. W badaniach przedstawionych EPA pokazano wyniki karmienia larw toksyną ale przez 7 a nie 8 dni. W innym eksperymencie karmiono larwy o połowę obniżoną dawką pyłku zawierającego toksyny Cry - i znowu nie zaobserwowano efektu letalnego. Urzędnicy EPA zostali poinformowani, że badania przedstawione przez Pioniera są zmanipulowane, ale - nie zdecydowali się podjąć działań wyjaśniających - ponieważ informacja została przekazana anonimowo...

Niech podsumowaniem stanu wiedzy na temat bezpieczeństwa GM roślin i żywności niech będą słowa hiszpańskiego naukowca Jose Domingo, który po dokonaniu przeglądu dostępnej literatury podkreśla, jak niewiele jest badań toksykologicznych. Stwierdza on dosłownie, że konkluzją jego analizy może być pytanie: Gdzie właściwie są naukowe dowody że żywność genetycznie modyfikowana jest tak bezpieczna, jak tego dowodzą firmy biotechnologiczne?

Autor: Katarzyna Lisowska

Źródło: [Dziennikarstwo Obywatelskie](#)

BIBLIOGRAFIA:

1. Scientific American, Editorial, VIII 2009 edition, published 21 VII 2009
2. Under wraps, Emily Waltz, Nature biotechnology, vol. 27, no 10 X 2009
3. Domingo JL. Toxicity studies of genetically modified plants: a review of the published literature. Crit Rev Food Sci Nutr. 2007;47[8]:721-33. Review.

„ANTYCZNI KOSMONAUCI” – CZĘŚĆ III

Roz. 10 „Biblia na desce kreślarskiej”

Dzisiejszy wierzący chrześcijanin odczytuje *Biblię* inaczej niż żyjący dwieście lat temu. A i wtedy na teksty biblijne patrzono inaczej niż jeszcze tysiąc lat wcześniej. Jest to łatwe do udowodnienia wystarczy w tym celu porównać stare przekłady *Biblii* z dzisiejszymi. Przy tym nigdy nie było moim zamiarem, co chciałbym z naciskiem podkreślić, kwestionowanie istnienia Boga. Zawsze pozostałem człowiekiem wierzącym.

Wysuwano także wobec mnie zarzuty, że dokonuję demontażu *Biblii*. Tymczasem nowocześni teologowie robią to o wiele skuteczniej, niż kiedykolwiek mnie by się udało.

Jeden z najbardziej zdumiewających przekazów *Starego Testamentu* to *Księga Ezechiela*, który pisze w pierwszej osobie. Przed dwustu laty Ezechiela uważano za prawdziwego proroka, a jego słowa były święte. Dziś znawcy wyznają pogląd, że *Księga Ezechiela* jest mieszaniną starszych tekstów oryginalnych i późniejszych uzupełnień.

Dlaczego relacja Ezechiela jest tak interesująca? Zaraz na początku opowiada on, jak nadszedł gwałtowny wiatr, wielka chmura i ogień płonący. Ze środka ognia coś promieniowało. Ezechiel opisuje cztery istoty o prostych nogach i stopach lśniących jak brąz czysto wygładzony. Każda z nich miała po cztery skrzydła.

Wreszcie prorok pisze o połyskujących kołach znajdujących się na ziemi, które „były wykonane tak, że jedno koło było w drugim” [wszystkie cytaty z *Biblii Tysiąclecia, Poznań-Warszawa 1980*]. Drobiazgowo odnotowuje, że koła „mogły chodzić w czterech kierunkach; gdy zaś szły, nie odwracały się idąc”. Koła te miały obręcze i kiedy osobliwe skrzydlate istoty „podnosiły się z ziemi, podnosiły się również koła”. Potem prorok wspomina, że skrzydła powodowały hałas przypominający szum wielu wód. Kiedy dziwaczny stwór wznosił się ku niebu, powstawał „odgłos ogłuszający jak zgiełk obozu żołnierskiego”.

Biblia odnotowuje nawet, co ciekawe (wydanie z 1906 r. w przekładzie Lutra), że nad całą konstrukcją „było coś, co miało wygląd szafiru, a miało kształt tronu, a na nim jakby zarys postaci człowieka”.

Jest to osobliwy tekst biblijny, który od samego początku przywiódł mi na myśl fałszywie zrozumiane urządzenie techniczne. Co tak naprawdę widział Ezechiel - czy któryś z jego poprzedników? Dla wierzących czytelników *Biblii* jest to wizja prorocza. Jednak, nie można się z tym zgodzić, skoro Ezechiel opisuje nie tylko to, co widzi, ale także okropny hałas, który słyszy. Ponadto wspomina później, że zaproponowano mu coś do jedzenia i że po spożyciu tego od razu o wiele lepiej się poczuł.

Pewnego inżyniera z kierownictwa NASA, nazwiskiem Josef Blumrich, również intrygował ten tekst proroka. Jaki sens mógłby mieć ten opis? Josef Blumrich porównał kilka wydań *Biblii*, pochodzących z różnych stuleci, i zasiadł przy swojej desce kreślarskiej. Starał się przedstawić na rysunku treść opisu, trzymając się ściśle słów Ezechiela i korzystając ze swej wiedzy konstruktora statków kosmicznych.

Główna część kadłuba miała kształt wielkiego bąka, jakim bawią się dzieci. U góry znajdowało się stanowisko dowodzenia, zapewniające dobrą widoczność na wszystkie strony. To był ten element, który prorok określił jako „szafir”, zawierający wewnątrz coś na kształt tronu.

W ziemskiej atmosferze obiekt się poruszał za pomocą czterech zamontowanych na stałe jednostek nośnych przypominających śmigłowce. Łopaty ich wirników prorok Ezechiel określał jako „skrzydła” czyniące okropny hałas, przypominający szum wielu wód. Są też i proste nogi z talerzami służącymi do lądowania, które według Ezechiela *Isniły jak brąz czysto wygładzony*.

Nie był to oczywiście pojazd kosmiczny, którym by można przemierzać międzygwiazdne dystanse. Był to tylko statek transportowy, skonstruowany w celu umożliwienia komunikacji wahadłowej między statkiem macierzystym a powierzchnią planety. Do napędu służył reaktor atomowy umieszczony w centrum obiektu. Reaktor ten z kolei musiał być chłodzony, a jego chłodnica była rozżarzona. To właśnie miał na myśli Ezechiel, mówiąc o żarzących się węglach w środku pomiędzy czterema skrzydlatymi istotami.

Na zarzut, że napęd jądrowy nie dałby się zastosować do statków tego rodzaju, ponieważ całe otoczenie, a więc i załoga, musiałoby ulec napromieniowaniu, trzeba odpowiedzieć, że taki właśnie napęd mają niezliczone podwodne okręty atomowe, a załoga nie ponosi uszczerbku na zdrowiu. Bezpieczeństwo jest tylko kwestią zastosowanej technologii.

Bardzo szczegółowo opisuje Ezechiel dziwne koła. Píše o nich, że miały obręcze i że mogły się poruszać we wszystkich czterech kierunkach, nie odwracając się przy tym. Zwyczajne koła obracają się w przód albo do tyłu, a jeśli są kierowane, to mogą również skręcać w prawo albo w lewo. Z tymi kołami było inaczej: były umocowane na stałe, a mimo to mogły się obracać we wszystkich kierunkach.

Pracownicy NASA zastanawiali się nad tym problemem i w końcu opracowali nowy rodzaj koła. Dzieli się ono na kilka segmentów zakończonych walcami, z których każdy może się obracać także w obu kierunkach. Tak skonstruowane koło rzeczywiście może się toczyć we wszystkich kierunkach, również po przekątnej, bez potrzeby zmiany położenia osi koła. W przód i do tyłu może się poruszać jak każde normalne koło, natomiast przy jeździe w bok obraca się tylko ten walec, który w danym momencie dotyka ziemi.

Nawiasem mówiąc, konstrukcja tego koła została przez NASA opatentowana w USA pod numerem 3 789 947.

Dla mnie jest to czysta ironia losu, że pomysł takiej konstrukcji koła pochodzi ze *Starego Testamentu*.

Będzie jeszcze zabawniej.

Pojazd kosmiczny który prorok tak drobiazgowo opisał, pojawia się powtórnie i zabiera proroka na swój pokład, aby go zawieźć do dalekiego kraju na „bardzo wysoką górę”. Kto by sądził, że prorok znalazł się w Izraelu i że tak podaje *Biblia*, ten niech porówna różne wydania. Słowo „Izrael” jest tylko dodatkiem pochodzącym od niektórych tłumaczy. W oryginale nigdzie się go nie znajdzie. Poza tym w Izraelu nie ma bardzo wysokich gór.

Na tej górze - opowiada prorok - zjawił się „mąż, który miał wygląd jakby był z brązu”, czyli metalicznie połyskiwał. „Miał on Iniany sznur w ręce oraz mierniczy pręt” i kazał Ezechielowi dobrze zapamiętać wszystko, co się będzie działo, gdyż po to właśnie został tu przyprawiony.

Co się potem działo, to może każdy sprawdzić sam w domu. Opisano to w rozdziałach 40-48 *Księgi Ezechiela*. Wraz z „mężem z brązu” Ezechiel pomierzył wielki budynek, skrzętnie odnotowując wszystko: długość, szerokość, zorientowanie według stron świata na osi południe-północ, różne schody - a nawet obrazy na ścianach. Uwagi naocznego świadka nie uszedł mały strumień przepływający obok budowli, który potem rośnie w potężną rzekę wpadającą do morza.

Dawniej teologowie widzieli w tym opisie Ezechiela wizję przyszłej świątyni w przyszłym Jeruzalem. Nad oczywistymi sprzecznościami przechodzono wspaniałomyślnie do porządku, na pewno zresztą w dobrej wierze.

W ramach telewizyjnego serialu przeprowadziłem wywiad z inżynierem Hansem Herbertem Beierem, który dokonał rekonstrukcji świątyni według słów proroka.

- Panie Beier, jest pan inżynierem w kierownictwie dużej firmy międzynarodowej. Zbudował pan ten model, co to właściwie jest?

- To po prostu świątynia Ezechiela, przedstawiona w rozdziałach 41-42.

- Przepraszam, że panu przerwę. Według mnie to nie wygląda na świątynię, ale raczej na jakiś stadion. Jak się opracowuje taką rekonstrukcję?

- Faktycznie, bardzo dziwne, że to ma być świątynia. Rekonstrukcję przeprowadziłem zgodnie z tekstem *Księgi Ezechiela* i było to bardzo interesujące właśnie z tego powodu, że nigdzie indziej w *Biblii*, nie podano tylu wymiarów jak właśnie u tego proroka.

- Z jakiego wydania *Biblii* pan korzystał?

- Wykorzystałem bardzo wiele źródeł, między którymi nieraz były znaczne różnice. W sumie było to trzydzieści różnych wydań które podzieliłem na pięć różnych kategorii. Bardzo istotne wnioski wyciągnąłem z *New American Bible*, wydanej w 1970 r.

- I prorok podaje tam, podobnie jak w innych wydaniach *Biblii*, na tyle ściśle dane, żeby na tej podstawie można było zrekonstruować cały kompleks budynków?

- Jego informacje są nadzwyczaj ścisłe, może to zilustruję pewnym przykładem. Spotkanie Ezechiela z jego przewodnikiem było dobrze zaaranżowane. Przewodnik miał na podorędziu mierniczy pręt i sznur...

- ...To jego *Biblia* nazywa „mężem z brązu”...

- Właśnie, a Ezechiel polecał tam czymś co nazywa „chwałą Jahwe”. Spotkali się przed budynkiem i weszli do środka przez bramę. Tutaj Ezechiel już zaczyna podawać dokładne liczby. Wszystkie wymiary, jakiegokolwiek pan ode mnie usłyszy, są albo dokładnie takie jak podaje Ezechiel, albo wynikają z dodawania ich czy odejmowania.

- Nawiasem mówiąc, widzę, że świątynia jest zorientowana według czterech stron świata.

- Tak jest, jej usytuowanie dokładnie odpowiada stronom świata. Następnie Ezechiel opisuje kwadratowe wnęki po sześć łokci, przy czym ma na myśli duży łokieć, odpowiadający około 53 cm. Można przyjąć, że to pół metra. Prorok wymienia wyraźnie też pięciolokciowy odstęp i na szczęście nie zapomina o całkowitej długości i szerokości dzięki czemu możemy zsumować wszystkie dane pomiarowe.

- Jeśli dobrze pana zrozumiałem, prorok Ezechiel wchodzi z tym „mężem z brązu” do środka budynku i mierzy mury i stopnie, co każdy może sam przeczytać w *Biblii*...

- ...Każdy wymiar można wprowadzić z *Biblii*. Co najciekawsze, te wymiary cudownie się zgadzają. W sumie uzyskuje się całkowity wynik 500 łokci.

- Ile to będzie w metrach?

- Jeden łokieć, odpowiada mniej więcej połowie metra, więc mamy kwadrat o boku około 250 metrów. Sam budynek świątyni to kwadrat o boku mniej więcej 50 metrów.

- Cała budowla ma formę tarasową. Dlaczego właściwie nie zbudowano zamkniętej świątyni, ale pozbawiony dachu budynek otwarty ku górze?

- *Otóż właśnie dawniejsi autorzy rekonstrukcji popełniali błąd, sądząc, że musi tu chodzić o zamknięty budynek. Jednak zamkniętego budynku nie da się zaprojektować według słów Ezechiela. Jedyne rozwiązanie, które jest z nimi do pogodzenia, to budowla otwarta od góry. Ezechiel powiada na przykład dosłownie, że „budynki boczne rozszerzały się ku górze”, i wymienia sale dostępne z innych sal.*

- *Jeśli dobrze sobie przypominam, a bardzo dokładnie przeczytałem Biblię, prorok mówi nawet, że „chwała Jahwe” weszła do środka budynku a to było przecież tylko wtedy możliwe, gdy nie było na nim dachu.*

- *Ezechiel powiada dosłownie: „A chwała Jahwe weszła do świątyni przez bramę, która skierowana była ku wschodowi, a głos Jego był jak szum wielu wód. (...) Było to widzenie równe temu, (...) które oglądałem nad rzeką Kebar. A oto świątynia pełna była chwały Jahwe...”*

- *Jednym z głównych konstruktorów NASA był poprzednio pan Josef Blumrich, który jest autorem rekonstrukcji transportowego statku kosmicznego, opisywanego przez Ezechiela. Czy znał pan rekonstrukcję Blumricha w czasie swojej skrupulatnej pracy nad tymi obliczeniami?*

- *Nie znałem jej i dowiedziałem się o niej dopiero wtedy, gdy byłem już bliski ukończenia. Nastąpiło to w momencie, kiedy moja koncepcja rekonstrukcji świątyni praktycznie była już gotowa. Co zabawne, z początku wcale nie zwróciłem uwagi na ten związek, bo szukałem tylko tych fragmentów w Biblii, w których występowały dokładne dane pomiarowe.*

- *Czy zdążył pan już poznać inżyniera Blumricha z NASA?*

- *Tak, widzieliśmy się po raz pierwszy kilka tygodni temu.*

- *Oczywiście, niezmiernie mnie ciekawi, czy pańska rekonstrukcja tak zwanej świątyni pasuje do rekonstrukcji inżyniera z NASA?*

- *Oczywiście, jedno pasuje do drugiego, i nie widzę żadnej różnicy, a pan Blumrich, dzięki uzyskaniu nieco dokładniejszej znajomości wymiarów świątyni, mógł nawet ulepszyć swoją koncepcję, przy założeniu, że jego statek transportowy miał bazę na ziemi i dlatego nie musiał wozić ze sobą całego zapasu paliwa.*

- *Panie Beier, napisał pan o swojej pracy bardzo ciekawą i starannie udokumentowaną książkę. Jak można byłoby w dwóch, trzech zdaniach ująć wnioski wynikające z przemyśleń pańskich i inżyniera Blumricha z NASA?*

- *Po pierwsze: budynek opisywany przez proroka Ezechiela musiał naprawdę istnieć. Po drugie: budynek ten - nie znajdował się ani w Babilonii, ani Izraelu, ale zupełnie gdzie indziej, o wiele dalej. Po trzecie: moja praca jest potwierdzeniem dzieła pana Blumricha, a także tego faktu, że Ezechiel był znakomitym obserwatorem, umiejącym doskonale opisywać rzeczywistość pojęciami właściwymi dla swojego języka i swojej epoki.*

- *A więc możemy dziś na podstawie dokładnych opracowań dwóch niezależnych od siebie inżynierów wyobrazić sobie, co się wówczas wydarzyło. Ezechiel polecał statkiem transportowym na „bardzo wysoką górę”. Tam znajdowała się tak zwana świątynia, nie będąca w rzeczywistości niczym innym jak stacją obsługi transportowego statku kosmicznego.*

Tyle wywiad.

Trwało tysiące lat, zanim ludzkość przekroczyła próg wieku techniki, zanim nauczyła się latać i pojęła możliwości dotarcia do najbliższych planet, a nawet do najbliższych gwiazd stałych.

Może okazać się pożyteczne następujące rozważanie: czym właściwie jest relacja proroka? W końcu niczym innym, jak przepowiednią przyszłości. Ten „mąż z brązu”, który oprowadzał proroka Ezechiela i kazał mu dokładnie notować wszystkie dane, oczywiście bardzo dobrze wiedział, co robi. Orientował się, że pokolenie Ezechiela nic nie zrozumie ani z zaawansowanej techniki, ani lotów kosmicznych. Ale wiedział również, że kiedyś w przyszłości nastanie era techniczna. A wtedy, spadną łuski z oczu potomnych proroka Ezechiela, którzy staną się zdolni prawidłowo odczytać przekazane przezeń słowa. Jego relacja była przeznaczona dla przyszłych pokoleń.

Adresatami jesteśmy **My**. To nasze pokolenie jest pierwszym, które może skonfrontować stare teksty ze zgromadzoną rzetelną wiedzą i zrozumieć wydarzenia sprzed wielu lat.

Ezechiel zresztą - czy kimkolwiek był jego prekursor, który spisał pierwsze oryginalne przekazy - zapytał wprost tego „męża z brązu”, po co właściwie ma to wszystko zapisywać. Otrzymał lapidarną odpowiedź: *Albowiem zostałeś tu przyprawdzony po to, abyś to widział.*

Ten obcy, który tak pięknie, metalicznie połyskiwał, wiedział coś jeszcze. Bez owijania w bawełnę powiedział to prorokowi, i zapewne także przyszłym pokoleniom, i każdy może to sam przeczytać w Biblii:

Synu człowieczy, mieszkasz wśród ludu opornego, który ma oczy na to, by widzieć, a nie widzi, i ma uszy na to, by słyszeć, a nie słyszy.

Erich von Däniken [„Antyczni kosmonauci” – Roz. 10]